

WIEŚ

tygodnik społeczno-literacki

Rok XI

Warszawa, dnia 7 lutego 1954 r.

Nr 6 (444)

MELANIA MROCZEK

O DALSZĄ AKTYWIZACJĘ MAS CZYTELNICZYCH

Zbliża się wiosenna akcja siewna. Najwyższy czas rozpocząć prace nad przygotowaniem do niej chłopów pracujących. W tym celu nie wystarczy obowiązywać w konkursie warunek czytania książek rolniczych. Trzeba chłopom pomóc w przyswojeniu sobie ich treści i wskazać na ich praktyczny stosowanie.

Trzeba przede wszystkim w odpowiednim czasie podsunąć książkę rolniczą, dobrą ją do potrzeb rolnika, by była mu pomocną w jego trudnościach, by dźwignęła go z jego zacofania, z jego nielubianych nawyków i uporów. Trzeba nam w tym okresie organizować zespołową pracę nad książką rolniczą, dyskusje nad nią, inicjować podejmowanie zobowiązań przez chłopów pracujących — do praktycznego stosowania jej zaleceń. Trzeba nam spośród ogółu czytelników w gromadzie wyłaniać kółka czy grupy zainteresowań, bo wtedy praca ta będzie bardziej połączona i tylko wtedy może dać poważniejsze wyniki.

Działacze organizacji masowych, bibliotekarze, nauczyciele wiejscy powinni pamiętać, że czytelnictwo książek rolniczych powinno być jak najbardziej dostosowane do potrzeb danego terenu, wiązać się tematycznie z podjętymi przez gromadę zobowiązaniami we współzawodnictwie i w konkursie hodowlanym.

Trzeba, by nasi czytelnicy stanęli na wsi do walki o aktywną pracę każdej świetlicy wiejskiej, każdej biblioteki, aby aktywnie uczestniczyli w pracy komisji kulturalno-oświatowych rad narodowych, aby pomagali w ożywieniu ich pracy, aby zagadnienia kultury i związane z jej rozwojem potrzeby wnosił na posiedzenia przeżył rad narodowych.

Tam, gdzie pracowały zespoły czytelnicze — w tych gromadach widzieliśmy piękne przykłady, świadczące o wzroście aktywności chłopów pracujących. Przykładem tego może być gromada Dubiny, gm. Hajnówka, pow. Bielski Podlaski. W gromadzie tej, w której co trzeci mieszkaniec wsi jest uczestnikiem konkursu, w której pracuje 13 zespołów czytelniczych — w tej chwili podjęto zobowiązanie dalszego zwiększenia liczby uczestników, aby czytelnictwem objąć wszystkich mieszkańców gromady. Pod wpływem czytelnictwa ponad 20 osób zgłosiło się tam do nowoorganizowanej szkoły dla pracujących. Pod wpływem czytanych książek o sadownictwie zakupiono i zasadzono około 1.000 drzew owocowych. Pod wpływem czytelnictwa przyspieszono założenie spółdzielni produkcyjnej. Liczne też mamy przykłady wskazujące na budzące się w zespołach czytelniczych potrzeby życia artystycznego, obudzone pragnieniem inscenizowania fragmentów książek, aby postaci z powieści móc widzieć żywym, móc głębiej przeżyć treść czytanych książek. Przykładem takim może być gromada Małe Tuwniki, gm. Plevno, pow. Biskupiec, w której przy czytaniu książek stosowano podział na role, co w rezultacie zrodziło postanowienie zorganizowania z uczestników zespołu czytelniczego, zespołu teatralnego.

Aby uaktywnić prace zespołów czytelniczych, organizujemy zebrania, dyskusje, konferencje czytelników, międzygromadzkie i gminne zloty czytelnicze, zanim rozpoczniemy organizację zlotów powiatowych.

Trzeba, abyśmy urozmaicali i wzbogacili w treści zebrania czytelników, wiążąc czytelnictwo z pracą oświatową i artystyczną, z występami zespołów artystycznych, z inscenizacją fragmentów książek, z recytacjami, ze śpiewem i tańcem. Śmiało sięgajmy po pomoc w walce o wzrost kultury do różnego rodzaju placówek i ognisk artystycznych, do Związku Literatów, do Instytutów i Szkół Rolniczych, do personelu sanitarnego, do ekip łączności wsi z miastem.

Wykorzystujemy dla czytelnictwa wszystkie zbiorowiska prowadzone przez nas na wsi, jak tradycyjne przedki, darcie pierza, kursy kroju i szycia, przetwórstwa, gotowania i inne organizowane kursy dla kobiet i młodzieży wiejskiej.

Pomocą w naszej dalszej pracy w walce o rozwój kultury, o wzrost produkcji rolnej powinny być gazetki i blyskawice redagowane przez

zespoły redakcyjne w świetlicach gromadzkich. Za pośrednictwem gazetki, prasy, radia i radiowęzłów piszmy i mówimy o osiągnięciach poszczególnych czytelników i zespołów, upowszechniamy ich dobre doświadczenia, ogłaszamy ich wezwania i apele. Biermy przykład z doświadczeń aktywnych ZSCh woj. opolskiego, w którym przed seansami filmowymi we wszystkich kinach wiejskich wygłaszano krótkie pogadanki dla czytelników i o czytelnikach, które okazały się skuteczną propagandą wśród szerokich rzesz widzów.

Zobowiązujemy GS do organizowania wystaw książek, loterii książkowych, do propagandy nabywania książek.

Łączmy pracę czytelników książek rolniczych z prowadzeniem doświadczeń, z zakładaniem poletek doświadczalnych przy świetlicach, z nieustannie rozwijającym się na wsi ruchem współzawodnictwa pracy w rolnictwie.

Bibliotekarze i działacze organizacji społecznych powinni dokładać wszelkich starań, aby zapalać i wzruszenie wywołane treścią książki, wykorzystywać ją najbardziej dla celów wychowawczych, żeby budzić u czytelników poczucie odpowiedzialności za upowszechnienie czytelnictwa na wsi, za pracę świetlic, za poziom kulturalny gromad, budzić w nich szlachetny niepokój o każdego mało i średniorolnego chłopca i dziewczynkę, o każdego młodzieńca, który nie nabrał jeszcze nawyków kulturalnych, który nie czyta, nie udziela się w życiu świetlicy, a wolny czas spędza przy kieliszku, na chuliganstwie i awanturach.

Organizacje młodzieżowe — zarządy ZMP, komendy SP i kierownictwa LZS roztoczyć powinny jak najtroskliwszą opiekę nad młodzieżowymi zespołami czytelniczymi, podsuwać młodzieży pracę w poszczególnych kołach zainteresowań, uwzględniając jej upodobania artystyczne, literackie, i naukowe, a przede wszystkim pobudzać jej zainteresowania przez wskazywanie do czytania i dyskusji odpowiedniej treści książek.

Ważną sprawą jest również uwzględnianie w pracy zespołów młodzieżowych potrzeb pracy zawodowej młodzieży zatrudnionej w POM-ach, GS-ach, radach narodowych i innych placówkach i zakładach pracy na wsi oraz w pobliskich miastach, do których młodzież dojeżdża. Wśród tego typu młodzieży wskazane jest organizowanie w oparciu o właściwy dobór lektury — kół racjonalizatorów, mechaników, fizyków, matematyków itp.

Niezbędna w tym zakresie jest pomoc odpowiednich fachowców — praktyków, którzy braliby udział w dyskusjach prowadzonych w poszczególnych kołach zainteresowań. O fachowców tych zabiegać i skierowywać ich do pomocy młodzieży powinny zarządy organizacji młodzieżowych. One też powinny starać się o to, by wokół najaktywniejszych w gromadzie młodzieżowców — członków ZMP skupiać młodzież mniej aktywną i nieorganizowaną.

Zadaniem organizacji młodzieżowych powinna być również troska o aktywizację młodzieży w pracy zespołów artystycznych.

Zarządy ZMP wspólnie z ZSCh i przy pomocy bibliotekarzy powinny pomagać młodzieży w zaopatrywaniu się w potrzebne do tej pracy materiały repertuarowe, teksty recytacji i montaż literackie, zarówno słowne jak słowno — muzyczne, opracowywać wytyczne i wskazania z zakresu wykonawstwa, doboru odpowiednich fragmentów książek do głośnego czytania.

Zadaniem bibliotekarzy powinno być zainteresowanie czytelników twórczością pisarzy, którzy uzyskali Stalinowskie nagrody pokoju, organizowanie wieczorów literackich poświęconych twórczości Juliana Tuwima, pogadanek i dyskusji z czytelnikami na temat przemian zachodzących w Niemieckiej Republice Demokratycznej w oparciu o powieści postępowych pisarzy niemieckich — takich, jak Willi Bredele, Anna Segers i inni, czy też reportaży Osmańczyka i Koźniewskiego, a przy omawianiu imperialistycznej machinacji wyjątków np. z „Podlegaczy” Szpanowa.

Melania Mroczek



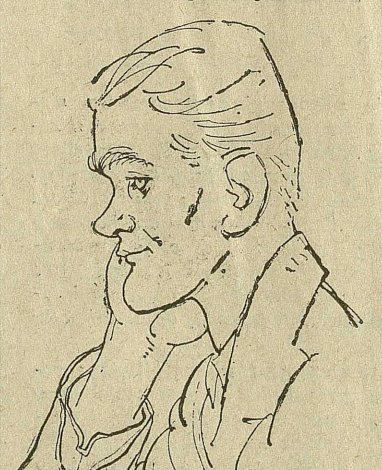
BRONISŁAWA NOWICKA
Członek spółdzielni produkcyjnej w Nosibadach pow. Szczecinek — organizatorka czytelnictwa wśród kobiet



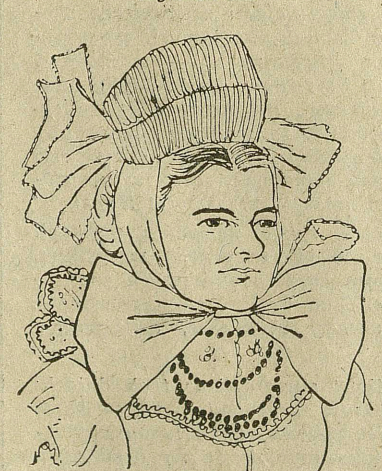
ROMAN WNUK
Członek Zarządu Świetlicy w Zalesiu pow. Rzeszów. We wsi tej na 400 mieszkańców 407 bierze udział w Konkursie Czytelniczym



JADWIGA DEPTA
Bibliotekarka gminna w Kuźni Raciborskiej na Opolszczyźnie



PIOTR KINDZIUK
Nauczyciel ze wsi Dubiny gm. Hajnówka, ZMP-owiec aktywny organizator czytelnictwa



HELENA BERUSOWA
Wiceprzewodnicząca Zarządu Powiatowego ZSCh w Gostyniu współzawodniczącego z powiatem Nowy Tomysł. Dzięki jej pracy powiat Gostynin znalazł się w ub. roku w akcji czytelniczej na I miejscu

Rys. J. Zebrowski

Z przemówień bibliotekarzy na warszawskiej naradzie

JAN JANKOWSKI

W PERSPEKTYWIE POWIATU

Już w czerwcu ub. r. przystąpił do pracy. Pierwszym naszym zadaniem było zorganizowanie powiatowego aktywnego czytelnictwa. Członkom komisji gminnych powierzone opiekę nad gromadami. Poczęliśmy systematycznie wiązać kółka czytelnicze z zespołami wszystkich organizacji na terenie gromady, utworzono trójki werbunkowe, które miały docierać do każdej chaty i werbować do konkursu każdego chłopca. W okresie letnim organizowaliśmy za przykładem Związku Radzieckiego wyjazdy na wies, w przerwach w pracy występowały zespoły pieśni i tańca, zespoły muzyczne, a równocześnie odczytywano były fragmenty powieści. Takie wypadły na wies urządzaliśmy również w okresie wykopków ziemniaków.

Na jednej z odpraw komisji gminnej w Grodzisku powstała myśl, by powiat wydawał własną gazetkę. Tutaj podawaliśmy wszelkie dane dotyczące przebiegu organizacji konkursu czytelniczego, gazetka docierała do każdej gromady. Wydawali ją też „Blyskawice”. Dobry one robiły robotę. Np. gdy wydaliśmy „Blyskawicę” poświęconą TPP-R, która to organizacja nie wzięła się, mimo usilnych prośb, do naszej pracy, po 4 już dniach TPP-R nadeszło zgłoszenia 360 czytelników.

Komisja powiatowa nadawała własny program przez wszystkie radiowęzły w powiecie, co drugi-trzeci dzień nadawano komunikaty. Jesienią wystawiliśmy do gromad zradiofonizowany samochód, łącząc wówczas akcje upowszechnienia czytelnictwa z mobilizacją chłopów do wykonania planu skupu. Bodaż

nigdzie tak mocno nie związane tych dwóch spraw jak u nas.

W tym samym czasie utworzyliśmy własne zespoły świetlicowe, rekrutujące się z uczniów szkoły Ogólnokształcącej w Nowym Tomyslu i Szkoły Metalowej. Gdy przyjeżdżaliśmy, każda świetlica była szczerze zapalniona. Warto bowiem było obserwować tę młodzież w tańcu, kiedy drzaży sypały się z podłogi, kiedy w skeczach pletniano kulaków opornych w skupie zboża, kiedy mówiono o książce! Często po takich występach cała ludność gromady podpisywała listy zgłoszenia do IV etapu.

Dalszą naszą pracą było wciąganie chłopów do konkursu poprzez młodzież szkolną.

Nie było zebrania gromadzkiego, nie było zebrania w jakiegokolwiek organizacji, na którym brakło by przedstawicieli powiatowej komisji czytelniczej. A ten nawiazował do IV etapu konkursu czytelniczego, wzywał wszystkich uczestników zebrania do podpisywania list zgłoszeniowych. Pomogli nam bardzo powiatowe zjazdy wszystkich organizacji, biorących udział w konkursie. W czasie trwania tych zjazdów wszystkie okna wystawowe sklepów naszego miasteczka przemieniały na wystawę książek konkursowych.

Kiedy Gościń miewał w komisji wojewódzkiej, że ma już ponad dwa tysiące czytelników, my przeprowadzający te podstawowe rzeczy mieliśmy dopiero 800 czytelników, ale teraz zgłoszenia zaczęły sypać się jak z rękawa. Na 6 dni przed terminem mogliśmy zameldować o wykonaniu naszego planu, a

w dniu 15 listopada mieliśmy już ośiem tysięcy czytelników.

Byli i u nas niedociągnięcia, moge was zapewnić, że w niektórych naszych gminach praca również zaczęła kuleć. Ale wtedy ruszał na wies nasz aktywny powiatowy i nie raz chodzili towarzysze po kilkanaście kilometrów dziennie, chodzili od chaty do chaty i zagrożone miejsce zostało uratowane.

Teraz pracują już wszystkie zespoły czytelnicze, dyskutują książki i w tej chwili wciągają do pracy wszystkich mieszkańców gromad. Przykładem niech będą Wojnowice, gdzie w ostatnich dniach urządzono wielką imprezę czytelniczą. Zespół czytelniczy tej wsi pracował nad książką „Chów świń” Kiełanowskiego. Urządzono publiczną dyskusję w której brało udział przeszło 300 mieszkańców gromady. Dyskutowali 60-letni chłopcy, którzy przysłuchując się poprzedniej dyskusji zespołu doszli do wniosku, że nie doceniali roli książek w gospodarce, że mylili się sądząc, że dobrze dotąd hodowali swoje świniaki, a teraz przekonują się, że można to robić o wiele lepiej. Dyskusja była długa i ciekawa. Wystąpił tam jeszcze zespół taneczny, oraz wyświetlano film o hodowli świń.

Imprezy takie odbywają się już teraz w wielu gminach i mamy zamiar wciągnąć przez nie całą ludność wiejską naszego powiatu do pracy nad książką nie poprzestając na osiągniętych 11 tysiącach. I to nam również powinno się udać.

Jan Jankowski

Kier. bibl. powiatowej w Nowym Tomyslu woj. poznański

JADWIGA DEPTA

MARZYŁAM W DZIECIŃSTWIE...

DRODZY słuchacze! W dzieciństwie marzyłam o tym, aby zostać nauczycielką. Jednak możliwości materialne i obawa rodziców przed wynarodowieniem nie pozwoliły mi osiągnąć celu. Bo muszę zaznaczyć, że jestem autochtonką i nie miałam szczęścia chodzić do polskiej szkoły. Toteż gdy zostałam bibliotekarką, spełniły się moje marzenia, bo razem z nauczycielstwem mogę się przyczynić do podniesienia oświaty ludności wiejskiej.

Brałam udział w II i III etapie konkursu czytelniczego. Podczas III etapu powstał u nas zespół teatralny, który zdobył duże powodzenie w całym powiecie. Na Zlocie w maju postanowiliśmy w IV etapie zwiększyć liczbę uczestników konkursu czytelniczego. Już w październiku mieliśmy około 100 zgłoszeń, ale w listopadzie dostałam zawiadomienie, że naszemu powiatowi grozi niewykonanie limitu. Chociaż jestem z natury nieśmiała, jednak

wówczas zaczęłam razem z moimi kierownikami punktów bibliotecznych na każdym zebraniu powiatowym i posiedzeniu przedium GRN mówić o konkursie i tak zdobyłam 304 nowych czytelników. W mojej rodzinnej wiosce Turzynie utworzyło się 6 zespołów. Jeden zespół składa się z samych starych ludzi ponad 50 lat. Duszą tego zespołu jest mój 74-letni ojciec.

Ważne jest dla ludzi miejscowego pochodzenia to, że poznali prawdę. Hitlerowcy mówili, że Polska nie ma żadnej własnej kultury a książki ukazywały nam całe jej piękno.

Jaka mieliśmy radość, gdy w „Zwycięstwie człowieka poczytawego” — Reja, znaleźliśmy słowa, które w naszej śląskiej mowie są żywe, których do dziś używamy.

Mamy grupy dyskusyjne, ale nie możemy się pomieścić w lokalu biblioteki i musimy urządzać zebrania w prywatnych domach. Nie jest to jednak przeszkodą w naszej pra-

cy. Przeciwnie — ludzie starsi lubią czytać w domu, biorąc książki do ręki, uczą czytelników starszych ludzi, które by bez tego pozostły w zapomnieniu.

Na koniec chcę się zwrócić do Związku Literatów Polskich z prośbą, żeby tak jak inne dzielnice zachęcały nasz Śląsk odwiedzać i zając się ludnością, która była tak długo oderwana od macierzy, żeby zespolili nas ludność autochtoniczną z ludnością całej Polski, żeby razem pomogła do dobrobytu naszej ojczyzny.

Jeszcze chciałabym poprosić odpowiednią instytucję, żeby wydała nowe wydania książek Lompy, Damrota, gdyż one poszły w zapomnienie. A jest dużo czytelników, którzy by się cieszyli, gdyby te dawne książki zobaczyli w nowej szacie.

Jadwiga Depta

Kier. biblioteki gminnej w Kuźni Raciborskiej woj. opolskiej

BRONISŁAWA NOWICKA

W MOJEJ GROMADZIE

JAK to było z czytelnictwem w mojej gromadzie? W 1949 roku powstało koło gospodyń. Otrzymaliśmy bardzo mało książek do czytania, ale od czasu do czasu jeździłam do miasta i kilka książek zdobyłam. Pomagała mi koleżanka Stanisława Łukomska.

Pierwszą książką, którą dostałam z Kola Gospodyń, był „Zostanę ugor” — Szolochowa. Sama jej nie mogłam zrozumieć, aż zaczęliśmy wspólnie — mężczyźni i kobiety — dyskutować i zastanawiać się nad nią.

Od tej książki zaczęło się u nas czytelnictwo. Zbieraliśmy się wieczorami i dyskutowaliśmy jakby sobie użycie i założenie spółdzielni produkcyjnej. Nikt dotąd wyraźnie nie rozumiał, co to jest spółdzielnia produkcyjna, a ta książka nam ją pokazała. Tak się zaczęło. Początko-

wo było 11 ludzi, dzisiaj 39 pracuje w naszej spółdzielni produkcyjnej.

W r. 1952 Kolo Gospodyń przystąpiło do konkursu hodowlanego dobiu i świń. Otrzymaliśmy nagrodę: pierwszorzędną wyposażoną apteczkę, która jest bardzo ważna na wsi. Ta apteczka już się przekształciła w punkt sanitarny przy spółdzielni produkcyjnej. Jego kierownikiem jestem ja z dziewczynką 16-letnią, która jest bardzo zdolna i pomaga mi. Może się zastanawiać: czy starsza kobieta może znać się na punkcie sanitarnym? Tak. Bardzo dużo pomocy niostam a ta dziewczynka ogromnie pomaga u tej pracy.

Przed wojną byłam sanitariuszką, ale wówczas nie wykorzystano moich zdolności. Dopiero Polska Ludowa dała mi możliwość ich rozwinięcia.

Przy pomocy planów i książek i przez większe odczytanie koleżanek, uczę kobiety higieny. Pomagam przy opatrunkach skaleceń czy w chorobach matych dzieci, żeby żadna matka nie była pokrzywdzona, że lekarz nie przyjeżdża, bo kobiety nasze trochę grymaszą, chcą żeby lekarz codziennie był w wiosce.

W r. 1953 powstał u nas zespół czytelniczy, który był jednocześnie zespołem hodowlanym, było w nim 46 kobiet — 14 otrzymało dy-

plomy za wzorową hodowlę kur i cieląt. Wyhodowałyśmy 548 kurcząt, część została sprzedana do spółdzielni gminnej za 4.200 zł, czyli że i kurczątka jeszcze dały zarobek. Józefa Martyną, jedną z uczestniczek konkursu, otrzymała dyplom i nagrodę. Przyrzekła, że wyhoduje w r. 54 — 1000 kur-letniaków. W gromadzie Kluczewo poszło w nasze ślady 10 kobiet, które założyły Kolo Gospodyń Wiejskich i teraz pracują z książką. Książki są dla nas wielką pomocą.

Czytają je nasze kobiety i chodzą teraz codziennie do świetlicy od czasu jak były wysłane na przeżoćca o Związku Radzieckim, gdy zobaczyły piękno radzieckich kolchozów, gdy zobaczyły ziemię, na której kiedyś nie się nie rozdziło a teraz pola pokryte są lasami, drzewami owocowymi, zbożem.

Nie kończyłam żadnej szkoły; to, co umiem — zdobyłam tylko przez czytanie. Miałam 27 lat, gdy nauczałam się czytać i mówić po polsku, bo przed tym to używałam niemieckiego. Przypadek, że na Zjazd naszej ukochanej Partii wykonam wszystkie zobowiązania, jak nie podjęłam.

Bronisława Nowicka

grom. Nosibady, pow. Szczecinek woj. opolskie

POLSKIE RADIO I Red. Tyg. „WIEŚ”,
ogłaszają
KONKURS CZYTELNICZY
Patrz str. 8

Fragmenty referatu wygłoszonego na krajowym naradzie aktywnego czytelnictwa i bibliotekarskiego.

KAZIMIERZ DĘBNICKI

CHINY LUDOWE — TO RZECZYWISTOŚĆ

Jest na kuli ziemskiej wielki kraj. Na żyznej i kryjącej przeogromne bogactwa mineralne ziemi tego kraju mieszka 500 milionów ludzi. Więcej niż w całej Europie, przeszło trzykrotnie więcej niż liczą ludność Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, dwukrotnie więcej od ludności obu Ameryk. W tym wielkim kraju zwyciężyła rewolucja. W tym wielkim kraju odwieczne zaniedbania — głód, prymitywną uprawę roli, słaby przemysł, groźne rzeki, powodujące w dni powodzi potworne straty, analfabetyzm — zalcza dzisiaj pięciusetmilionowy naród, który obalił panowanie sprzedanej kapitalistom zagranicznym burżuazji i faszystów Czang-Kai-Szeka, naród, który rządzi dziś w swoim państwie. W ogromnym państwie — w Chinach.

Kiedys, przed tysiącami lat — władcy Chin wznosili trudem rak niewolniczych słynny chiński mur, mający strzec Kraj Smoka przed wpływami obcymi.

Chiński mur nie ustrzegł narodu chińskiego przed drapieżnością imperializmu. I tak, jak kruszał kamień w starym murze — tak kruszała niezależność kraju, sprzedawanego przez bogaczy i tchórzliwych władców obcym mocarstwom.

Kapitałista całego świata, opanowawszy Chiny, zbudował nowy mur chiński. Nie z kamienia, z dolarów i funtów, z marek i franków. Spółdłem w tym murze był bezprzykładny ucisk i wyzysk mas chińskich, a jego niedostępności broniły czołgi i okręty wojenne, działa i samoloty kapitalistycznych potencji i sprzedających rządów Chin.

I ten mur kruszał pod naporem nowych czasów, pod naporem ludowej rewolucji, której przewodziła Chińska Partia Komunistyczna i Mao-Tse-Tung. W roku 1949 dolarowy, wsparty o bagnyty żołdaków Czang-Kai-Szeka i amerykańskich dostawcy bromi — nowy mur chiński padł z hałasem. Nadszedł czas potwierdzający słowa Lenina:

„Rezultat walki zależy w ostatecznym wyniku od tego, że Rosja, Indie, Chiny itp. stanowią ogromną większość ludności. I właśnie ta większość ludności z niezwykłą szybkością wciąga się w ostatnich latach do walki o swoje wyzwolenie, tak, że w tym znaczeniu nie może być cienia wątpliwości, jakże będzie ostateczne rozstrzygnięcie walki światowej”. (Lenin, „Dziela wybrane”, t. II, wyd. 1949).

Istnienie nowych Chin, w których lud zburił wszystkie stare i nowe mury odrzucając kraj od postępu, wolności i sprawiedliwości społecznej — jest faktem zmieniającym w zasadniczy sposób układ sił w świecie. Zmieniającym na rzecz „na dobro obozu pokoju, obozu socjalizmu”.

Oczywiście można udawać, że się o tym wszystkim nie wie, że się tych przeobrażeń nie chce właściwie odcenić.

Ale, jak powiedział niedawno premier rządu Indii, Nehru:

„Nie uznawać Chin, znaczy to, zamknąć oczy na rzeczywistość”.

Zamyka zaś oczy na rzeczywistość uparcie nie chcą uznać Chin Ludowych część polityków USA, a w ich liczbie p. Dulles, sekretarz Departa-

mentu Stanu, szef polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych.

Swego czasu imperialiści USA nie chcieli uznać ZSRR. Uznawali wszelkie „rządy” zbuntowanych, konterwolutywnych generałów i admirałów carskich, ale rządu bolszewickiego nie uznawali. Wbrew faktom, które wyraźnie mówiły, że ten właśnie rząd ma oparcie w narodzie i sprawuje władzę nad krajem.

W tych to czasach ówczesny prezydent USA — Wilson mówił:

„Mocarstwa sojusznicze nie zamierzają więcej stosować biernych taktyk w stosunku do bolszewizmu. Widzą one w nim jedynego wroga, przeciwko któremu należy się uzbroić”. (Listopad 1918 r.).

Zbrojne interwencje w Rosji skończyły się klęską. I tenże sam Wilson w liście do Kongresu USA już w

realności zamierzeń obalenia ludowego rządu Chin, fikcyjność i nie-realistyczność nie uznawania Chin Ludowych.

Znamienny, bo świadczy wyraźnie, kto historię rozumie i działa zgodnie z jej prawami, a kto chciałby postępować wbrew historii i jej prawom. Ale historia, to nie taśma filmowa. Wstecz puścić jej nie można.

Pan minister Dulles spogląda jednak z uporem na historię i na historyczne fakty, jak na filmową taśmę. Są to widać zgrubne skutki wpływów Hollywoodu.

Oczywiście, że istnieją przyczyny tego uporu. Dość jasne i dość stare. Podobne do tych, które Wilsonowi każyły zwalczać i nie uznawać rewolucyjnej Rosji.

W jednym wypadku chodziło o kałuską naftę, bogactwa ziemi sybe-

l Chin”. Jak taka „organizacja” wyglądał pokazali niemieccy „wspólnicy” w latach wojny. Dziś ta sama spółka chciałaby ponownie „organizować” rynki handlowe. W podobny sposób.

A jeżeli ktoś się naiwnie pyta, jaki może mieć związek sprawa Chin i sprawa Niemiec, sprawa uznania Chin Ludowych i sprawa pokojowego, a nie „adnauerowskiego” rozwoju narodu niemieckiego i jaki te obie sprawy łącznie mają wpływ na sprawę pokoju — to odpowiedź dała już historia. Między innymi opublikowanymi materiałami w piśmie „In Fact”.

Tłumaczą one w każdym razie upór p. Dullesa w nieuznawaniu Chin, opór, drogo zeszłą kosztujący naród amerykański, którego synowie ginęli w walce ze sławnymi żołnierzami — ochotnikami chińskimi na koreańskim froncie i którego inni synowie na skutek zerwania stosunków gospodarczych USA z Chinami Ludowymi pomnażają szeregi bezrobotnych.

Amerikanie, autorzy książki „Kryzys gospodarczy i „zimna wojna” („Czytelnik”, 1951 r.). — stwierdzają m. in. na str. 93:

„Jeszcze bardziej szkodliwy wpływ na bezrobocie miał bojkot handlu z ZSRR i krajami demokracji ludowych, stanowiący część składową planu Marshalla i paktu atlantyckiego. Bojkot ten, który obejmuje obecnie także Chiny, powoduje utratę stosunków z krajami, które w r. 1946 pochłaniały 13 proc. całego eksportu Stanów Zjednoczonych. Potencjalna siła nabywcza tych państw jest wielka. Celem ich jest budowa socjalizmu oraz rozwój gospodarczy. Dlatego też zakupy Związku Radzieckiego, krajów demokracji ludowej oraz Chin składały się głównie z maszyn i wyposażenia przemysłowego, co zwiększyłoby możliwość zatrudnienia robotników przemysłowych. Obecnie, kiedy zamówienia stale maleją, a robotnicy masowo zwalniani są z fabryk maszyn i budowy wagonów, przypominie należy sobie rok 1931, kiedy to zamówienia radzieckie oceniły przemysł obrabiarkowy od bankructwa. Kierownicze grupy amerykańskiego wielkiego kapitału nie pozwalają na handel, który by wzmacniał ZSRR i demokracje ludowe. Wolą nawet stracić pewne zyski, które taki handel mógłby im przynieść. Przekonamy się, jak długo w obliczu rozwijającego się kryzysu gospodarczego będzie trwał ten bojkot”.

Nie bardzo długo. Nie pomogło nakreślenie koniunktury zbrojeniami na wojnę koreańską. 24 stycznia 1954 roku komentator „New York Times”, Sulzberger, pisząc o konferencji berlińskiej — oświadczył:

„Konferencja może przyczynić się do zwiększenia handlu pomiędzy Wschodem a Zachodem, ponieważ USA potrzebuje nowych rynków, a ZSRR poszukuje dóbr przemysłowych”.

Ze chodzi, oczywiście, nie o sam Związek Radziecki, podkreśla wyraźnie burżuazyjni, paryski „Le Monde” z 23.1.1954:

„Jeżeli chodzi o Francję, to nie wydaje się, że mogłaby ona stracić na

(Dokończenie na str. 7)



JÓZEF SOLTYS

„Jak długo świecić będzie słońce i płynąć woda w rzekach...”

W gmachu Kongresu amerykańskiego w Waszyngtonie rozgrywa się niezwykła scena. Na trybunie przeznaczonej dla senatorów stoi przybrany w mawlniczy strój i wielki pióropusz stary wódz Cherokeeów „Wschodzące Słońce”. Blade twarze postaci usunęły plemię Iakima z terenów nad wodospadem Celio w stanie Waszyngton; toteż stary wódz przybył do stolicy Stanów Zjednoczonych, by bronić praw swych czerwonoskórych braci.

W roku 1855 zawarty został między rządem USA a starszym plemieniem Iakima traktat określający granice zajmowanego przez nich obszaru. Jak głosi zakończenie uroczystego dokumentu, obowiązywać on ma tak długo „jak długo świecić będzie słońce i płynąć woda w rzekach”.

— „Czyż słońce przestało świecić?” — pyta stary wódz senatorów amerykańskich. — Czyż przestały płynąć wody Celio? A może nasz traktat jest tylko świstkiem papieru?”

Otóż to, stary wódz. Tam gdzie w grę wchodzi zyski, dla dolarowych businessmenów każdy traktat jest tylko świstkiem papieru. Toteż senat amerykański uchwalił przekazanie trustowi „General Investment Co” terenu wokół Celio na planowane przez inwestycje budowlane i wydłubienie stamtąd Indian Iakima. A stary wódz Cherokeeów powrócił do swych braci ze smutną nowiną: „Słońce przestało świecić...”

ZŁOTO I „WODA OGNISTA”

Niedawno specjalna delegacja Indian amerykańskich przedłożyła Organizacji Narodów Zjednoczonych pismo, w którym rząd Stanów Zjednoczonych oskarżony został o niedotrzymanie umów zawartych z poszczególnymi plemionami. Rasistowski terror, w jakim żyje 15 milionów Murzynów amerykańskich, w równym stopniu odnosi się do 360.000 Indian w USA.

Tragedia Indian amerykańskich sięga roku 1492, w którym Kryształ Kolumb odkrył nowy kontynent. Obszar dzisiejszych Stanów Zjednoczonych zamieszkiwało wówczas przeszło milion czerwonoskórych władców tego kraju. Dzisiaj jest ich zaledwie 360 tysięcy. W ciągu czterech stuleci setki tysięcy i miliony Irokezów, Siouxów, Apaczów padły ofiarą europejskich konkwistadorów. Całe plemiona zostały wybitelne. A metody „likwidacji” były rozmaite: „woda ognista” i choroby epidemiczne, nieznane uprzednio w tym kraju, krwawe masakry i — w ostatnim okresie — rezerwy, niewiele różniące się od „zwykłych” obozów koncentracji Kresów. I dzisiaj śmiertelność wśród Indian jest czterokrotnie większa niż wśród białych.

Charakterystycznym przykładem są dzieje plemienia Siouxów. Po wieloletniej, nierównej walce, w roku 1868 rząd amerykański przyznał im „na wieczne czasy” obszar Black Hills w stanie Wyoming. W kilka lat po uroczystym podpisaniu traktatu, w okolicach tych odkryto bogate złoża złota. Oczywiście żaden z białych awanturników nie troszczył się o uroczysty traktat: całe plemię zostało w bestialski sposób wymordowane.

Minęła jednak gorączka złota, kopalnie zostały porzucone, a obrazy tereny żyznej ziemi zagarnię w wielcy obszarnicy. Ponieważ zaś czerwonoskórzy sprzedają swoją krwawą trud za jedną czwartą ceny, jaką trzeba by zapłacić białemu robotnikowi, więc corocznie, w okresie żniw, ciągną do Wyoming pielgrzymki Nawajów — plemienia żyjącego w południowo-zachodnich stanach USA.

Po żniwach Nawajowie muszą jednak natychmiast wracać skąd przybyli — do Nowego Meksyku. W podartych kocach na wychudłych ramionach, z niemowlętami na rękach — wędrują oni setki kilometrów do swoich siedzib. O stosunku białych rasistów do potomków dawnych władców kraju, świadczy historia podana przez amerykański tygodnik „Time”. W tłumie wędrujących Nawajów znajduje się kobieta, która osiem dni temu powiła dziecko. Ale farmer nie pozwolił

jej pozostać w zajmowanym baraku ani dnia dłużej — razem z resztą wyrobników musiała opuścić swój barłóg.

W górach noce są mroźne — toteż mimo najczulszych zabiegów matki, maleństwo umiera. W najbliższym miasteczku trzeba pochować niemowlę. Ale pochować ciało indiańskiego dziecka w ziemi, która należy do „białego” stanu Wyoming? Wykluczone. Zdenerwowany urzędnik długo tłumaczy coś zbitym w gromadkę Indianom, którzy wreszcie ruszają w dalszą drogę. Z martwym dzieckiem na ręku, jako symbolem amerykańskiej „wolności, równości i prawdziwej demokracji...”

CZY INDIANIE

SĄ BARBARZYŃCAMI?

Jak wynika z opublikowanego niedawno raportu rządowego, w Stanach Zjednoczonych żyje obecnie około 300 szczepów indiańskich, mówiących przeszło 250 różnymi dialektami. Przeszło 60 procent Indian stanowią analfabeci.

Wykorzystują ten fakt w swej walce przeciwko Indianom amerykańscy faszyci, posługując się starą metodą dyskryminacji rasowej: „Czerwonoskórzy to barbarzyńcy, dzikus, bandyci” — głoszą ideologowie amerykańskiego rasizmu. Jak dowodzą jednak badania uczonych, przede wszystkim archeologów i etnografów, Indianie należą do najzdolniejszych narodów w świecie. Im to właśnie zawdzięczamy uprawę ziemniaka, bulwy ziemnej w Europie przed wyprowadzeniem Kolumba. Na wiele stuleci zanim stopa białego zdobywcy dotknęła ziemi nowego kontynentu, Indianie znali jeden z najtrudniejszych procesów uszlachetniania roślin: z niezłoczonej ilości odmian traw potrafili wyhodować kukurydzę, tę pszenicę Nowego Świata. Hodowlę konia wierzchowego i pociągowego — nieznanego im przed Kolumbem — doprowadzili Indianie do takiego stopnia doskonałości, że ich biali nauczyciele wiele się mogli potem od nich nauczyć. Ich zdolności nie mogą jednak się rozwinąć w warunkach narzuconego im reżimu nędzy i ciemnoty.

Aż do przybycia białych Indianie nie znali zorganizowanych wojen, zabójstwo człowieka zaś należało do rzadkości i było niezwykle surowo karane. Z chwilą jednak, gdy na jeździe ogniem i żelazem poczęli niszczyć indiańskie osady, czerwonoskórzy dowiedli, że potrafili być również dzielnymi wojownikami. Dzieje wojen prowadzonych przez Indian w ubiegłym stuleciu dowodzą, że niewielkie oddziały Indian przez wiele tygodni, a nawet miesięcy potrafiły wiązać bez porównania silniejsze i lepiej uzbrojone armie białych.

Przed stu laty poeta indiański William J. Harshas ogłosił swój list „do wszystkich Indian”, który i dziś jeszcze zachował swą tragiczną wymowę:

„Moi Bracia. Stara legenda naszego ludu opowiada o wielkim wodzu, który przeprowadził swoje plemię przez rzekę, wskazał na ziemię i powiedział: A-la-ba-ma. W naszym języku znaczy to: tutaj możemy wypocząć. Ale wielki wódz nie patrzył w przyszłość. Bowiem przyszedł biały człowiek i ani wódz, ani jego lud nie zaznali spokoju. Wyrzucił ich w ciemne bagna i tam wymordowano. A słowa, które wypowiedział wielki wódz stało się nazwą kraju białego człowieka”. Dla nas Indian nie ma miejsca na ziemi, gdzie moglibyśmy wypocząć i spokojnie powiedzieć: A-la-ba-ma”.

Gorzkie są słowa poety. Nie wiedział on, że biali to nie tylko rabusie i mordercy. Ze najlepszy spośród nich — klasa robotnicza z jej partią na czele, podejmie walkę o przywrócenie praw skrzywdzonym i wyzyskiwanym. O to, by wszyscy ludzie, bez względu na rasę, kolor skóry i język mogli żyć w swym kraju w pokoju i szczęściu.

Józef Soltys

*) Alabama — nazwa stanu w USA.



Tat-Tse. Składanie podpisów pod Apelem Sztokholmskim

styczniu 1919, po paru zaledwie miesiącach doświadczeń, musiał przyznać, że bolszewizm... „nie może być powstrzymany siłą, lecz może być powstrzymany głodem”.

Ani interwencje zbrojne, ani blokada gospodarcza, mająca głodem zlamać Kraj Rad — nie dały rady. Dalszy ciąg historii jest znany. Także p. Dullesowi. Choćby dlatego, że musi po trzydziestu paru latach słuchać w Berlinie słów prawdy z ust Molotowa — ministra spraw zagranicznych potężnego Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich.

Słów prawdy — tym razem o Chinach. To jest o 500 milionach nowych ludzi w wolnym nareście kraju, który za przykładem Rewolucji Październikowej, jej nauką natchniony buduje na żyznej i szerokiej ziemi szczęście i pokój.

Znamienny to fakt, że radziecki przywódca głosi dziś wobec p. Dullesa, który już w latach 1918-19 zajmował się czynnie zwalczaniem rosyjskiej rewolucji, fikcyjność i nie-

ryjskiej i Uralsu, o złoto, węgiel i płody rolne. W drugim o bogactwa naturalne Chin, o tanie surowce i taki rynek zbytu, który by w stosunkach handlowych z USA nie kierował się interesami narodu, ale interesami amerykańskiego sprzedawcy i producenta i bankiera.

Ze żadna metoda nie jest w tym wypadku dla mówcy choćby opublikowane w roku 1942 w amerykańskim piśmie „In Fact” sprawozdanie z tajnej narady „handlowych kół” USA i hitlerowskich Niemiec — odbytej w Ameryce w dn. 23.XI.1937 r. — na 21 miesięcy przed wybuchem II wojny światowej.

Narada zgromadziła z jednej strony niemiecko-hitlerowskich dyplomatów — Tippleskircha i Killingera, a z drugiej przedstawicieli koncernów Du Pont de Nemours, General Motors i in. Są to, jak wiadomo, koncerny bardzo bliskie p. Dullesowi.

Zgromadzeni ustalili, że „Niemcy i USA powinny współpracować po to, by zorganizować potężne rynki Rosji

mniesze wrażenie wywołały radzieckie propozycje rozszerzenia stosunków handlowych między Wschodem a Zachodem, jako jeden z istotnych czynników zmniejszenia napięcia międzynarodowego. Jak pisał ta sama agencja, tam gdzie wchodzi w grę perspektywy zyskowego handlu „pewnym krajom zachodnim trudno będzie się oprzeć”. Miała rację. Równocześnie bowiem z przemówieniem Molotowa do Moskwy przybyli przedstawiciele 26 firm angielskich w zamiarze przeprowadzenia rokowań handlowych. Efekt propozycji radzieckich był tak wielki, że min. Bidault uznał za stosowne wezwać do Berlina na konsultacje przewodniczącego francuskiej delegacji handlowej bawiącej właśnie w Moskwie.

Najżywością dla Polski zagadnieniem jest niewątpliwie sprawa niemiecka, do której rozpatrzenia przystąpił ministrowie przy końcu pierwszego tygodnia obrad. Każdy z nas uznaje za swoją walkę toczoną w tej sprawie przez delegację radziecką w Berlinie, walkę o to — jak powiedział min. Molotow — „by Niemcy odrzuciły się jako jednolite i niezależne, demokratyczne i pokojowe państwo niemieckie”. Jest to również stanowisko odpowiadające jak najszerszym masom narodu niemieckiego na wschodzie i na zachodzie. Stwierdziła to w zachodnim Berlinie w związku z propozycjami radzieckimi znana burżuazyjna dziennikarka, Genevieve Tabouis, na łamach paryskiego „Information”: „Panuje powszechne przekonanie — a możemy sprawdzić je codziennie w sposób ścisły i bezstronny — że gdyby bankierzy, przemysłowcy, profesoria, duchowni, senatorzy i kupcy zachodniego Berlina mogli głosować swobodnie, to uszyscy domagaliby się zjednoczenia Niemiec i zbrojnej neutralności kraju, neutralności gwarantowanej traktatami z sąsiadującymi państwami oraz w porozumieniu między wielkimi mocarstwami w sprawie przyszłości Niemiec”.

Dziennikarka nie wymienia w swym piśmie milionów prostych ludzi. Jest bowiem zupełnie zrozumiałe, że ich to przede wszystkim, — ludzi uginających się pod brzemieniem coraz głośniejszych przygotowań wojennych — ożywiają owe idee. Stąd wielkie zainteresowanie, z jakim naród niemiecki obserwuje obrady berlińskie, wytyczające losy ich kraju.

Angielski „New Statesman and Nation” stwierdził w tych dniach: „kongres amerykański, Adenauer, większość brytyjskich konserwatystów — wszyscy oni, wraz z prawym skrzydłem partii labourystowskiej, traktują konferencję berlińską, jako przeszkodę na drodze do uzbrojenia Niemiec”. Przeszkoda ta nie maleje, ale powiększa się. Powiększa ją żywioła atrakcyjność propozycji radzieckich. Ministrowie zachodni czują, że naród francuski popiera propozycje pokojowego wygaszenia wszelkich ognisk zimnej i gorącej wojny w Europie czy Azji, że naród amerykański gorąco wita propozycje porozumienia atomowego i wydobycia się z awantury koreańskiej, że Wielka Brytania — podobnie jak i inne kraje — potrzebuje rozszerzenia handlu międzynarodowego. Stąd zastępuje na uwagę pogląd wspomniany już uprzednio dziennikarki francuskiej, Tabouis, która w rozmowie z korespondentem berlińskiego dziennika „Berliner Zeitung am Abend” oświadczyła w pierwszy czwartek konferencji: „Sądzę, że można by powiedzieć już obecnie, iż konferencja berlińska zapoczątkuje serię rokowań międzynarodowych, które w konsekwencji doprowadzą do modus vivendi, gwarantującego pokój na długie lata. Jednak armia europejska nie będzie zrealizowana, a Chińska Republika Ludowa zajmie koniec końców miejsce przy stole konferencyjnym”.

Zbigniew Klejn

ZBIGNIEW KLEJN

Ważne dni

Wiele pism zachodnio-europejskich i amerykańskich przyznaje już dziś otwarcie, że ZSRR od samego początku konferencji berlińskiej „wziął inicjatywę polityczną w swoje ręce” albo — jak stwierdza korespondent agencji „United Press” — „Molotow jest rzeczywistą czołową postacią na konferencji”.

Jest rzeczą oczywistą, że obzrymnia rola, jaką Związek Radziecki odgrywa we wszelkich spotkaniach międzynarodowych, wynika z jego niezmiennej, jasnej i prostej polityki. I nie jest przypadkiem, że zasady tej, poparte i tu konkretnym, szczegółowo opracowanym programem, to Molotowa, zdobył mu z miejsca czołową pozycję w Berlinie. W tym programie tkwi właśnie zasadnicza różnica między stosunkiem ZSRR i pozostałych jego partnerów do konferencji. Ci ostatni strawili szereg miesięcy na omyslianiu sposobów uchylecia się od obciążenia nacisku swoich narodów, pragnących szczerze odprężenia międzynarodowego i położenia kresu polityce wojny. W tym samym czasie Związek Radziecki skrupulatnie przygotowywał się do walki o przybliżenie najgłębszego marzenia współczesnej ludzkości — trwałego pokoju. Ta różnica w podejściu decyduje również o wynikach. Pisz o tym otwarcie nawet „New York Times”: „Argumentacja radziecka przygotowana jest z największą starannością przez sztab zdolnych fachowców”. Radziecki dyplomata uzyskał w polemice z Dullesem wiele punktów dzięki zastosowaniu wiedzy historycznej”.

Historia — jak wiemy — nie jest najmocniejszą stroną Dullesa. Ujawnia się to z szczególną mocą w trakcie obrad nad pierwszym punktem przyjętego na wniosek radziecki porządku dziennego, po wysunięciu przez min. Molotowa propozycji zwolnienia konferencji ministrów spraw zagranicznych pięciu wielkich mocarstw z udziałem Chin Ludowych. Celem takiej konferencji byłoby zmniejszenie napięcia międzynarodowego. W odpowiedzi Dulles, ironicznie pytając się kto to jest ów mr Czu En - lai, obrzucił obelgami rząd i naród chiński. Ale amerykańskiemu sekretarzowi stanu nie udało się przestonąć nieodwracalnych faktów historycznych oszczerstwami i maską ignorancji. Pozostali partnerzy Dullesa, których rządy nawiązały już stosunki dyplomatyczne lub handlowe z Chinami, przyznali konieczność udziału tego wielkiego mocarstwa azjatyckiego w rozstrzyganiu problemów międzynarodowych.

Takie rysy w proklamowanej jedności mocarstw zachodnich zanępkowały poważnie amerykańskich monopolistów. „USA mogą znaleźć się w niebezpieczeństwie przegranej pierwszej rundy konferencji berlińskiej — rundy o komunistyczne Chiny...” — pisał 28 stycznia „New York World Telegram” — „Czwarty dzień konferencji poświęcony był znowu sprawie Chin. Jest to specjalnie irytujące dla Amerykanów, którzy od wielu tygodni nalegali na to, aby konferencja zajęła się wyłącznie sprawami Niemiec i Austrii...”

Nie skończyło się zresztą na czwartym dniu. Problem zaproszenia Chin do udziału w kształtowaniu pokojowych losów świata stoi nadal na porządku dziennym. I stać będzie dopóty, dopóki znajomość faktów historycznych nie będzie niezbędnym elementem ekwipunku niektórych zachodnich ministrów.

Niesposób jest tu dokładnie omówić bogatego wkładu delegacji radzieckiej w prace konferencji. Niestychanie donosiła propozycja zwolnienia w roku bieżącym światowej konferencji w sprawie powszechnej redukcji zbrojeń, połączonej z rozwiązaniem problemu energii atomowej, stanowi cios w samo centrum imperialistycznych przygotowań wojennych, spychając — jak to obrazowo przedstawił korespondent agencji „United Press” — „zachodnich alliantów do defensywy”. Nie-

* TEZY * PRZEDZIAZDOWE

Logika

„C” horzy leżeli w pustych izbach na siennikach, obok stawiano wiadro z wodą, by mieli czym gasić pragnienie, a wszyscy domownicy szli do pracy w polu. Tak wyglądało tuż przed wojną „leczenie” tyfusu pod Inowrocławiem. Dr S. Giebocki z Barcina w powiecie szubińskim (woj. bydgoskie), jeden z dziesięciu współautorów wydanych w roku 1939 „Pamiętników lekarzy”, zna wiele wstrząsających obrazów z pozbawionej możliwości leczenia się wsi.

Jakże często jednak był tylko ich spóźnionym widzem czy odległym rejestratorem! Spóźnionym i odległym, bo chłopca stać tylko było na zachora i „babkę”. Dworowi zaś, który zobowiązany był zapewnić opiekę lekarską robotnikom rolnym, taniej kalkulowało się dawać upust patriarchalno - filantropijnym zapędem dziedziczkę. Na tym zresztą i wyczerpywała się różnica w „organizacji” służby zdrowia na wsi. Metody leczenia były bowiem takie same. Motyw podbarcińskiej obszarzaczki, „leczącej” chore na dyfteryt dziecko naftą i sosem ze śledzi, póki nie skonało, przewija się w różnych postaciach przez cały gruby tom. Odzwierciedla on niemal symbolicznie pogardliwy i nienawistny stosunek ówczesnych władz Polski do ludzi pracy — chłopów i robotników.

A lekarze? W kraju, który tak bardzo potrzebował pomocy lekarskiej, lekarze klepali biedę. Dr Piekarski ze Śremia (woj. poznańskie) nie mógł zarobić w roku 1934 nawet na komorne. Ustrój, który zabijał ludzi moralnie i fizycznie, który hamował i zwalczał wszelkie próby poprawy, pozostawiał za to lekarzom dużo wolnego czasu na obserwację i na ugrunтовanie w nich tragicznego poczucia niemocy. Pisze sanacyjny publicysta we wstępie do „Pamiętników”: „Zdrowie ludzkie w Polsce oglądane ich oczami całkiem z bliska, daje obraz przerażający... Cóż się tu dzieje. Jeden umysłowo chory zjada cały budżet gminy przeznaczony na leczenie. Jedna choroba zjada cały majątek chorego. Na wszystko to patrzy lekarz... i bezsilnie obserwuje, jak o ten gabinet bije ocean nieszczęścia ludzkiego, któremu można by zaradzić, któremu czuje się powołany służyć i któremu służyć nie jest w stanie...”

Cóż. Stare dzieje — powiecie. Siuszenie. Mamy rok 1954. Radio nadaje właśnie reportaż o lekarzu ze wsi Siedliszcze w pow. chełmskim. Dr Aleksander Balasz otrzymał dyplom w 1947 r. Osiały we wsi brudnej, ciemnej i pełnej zabobonów. Ale to też już stare dzieje. Dziś Siedliszcze ma ośrodek zdrowia, szpital, izbę porodową. Czy to koniec ambitych osłanień dr Balasza? Raczej — początek. Z jego inicjatywy wiesz buduje basen pływacki, osuszając „po drodze” 40 ha malarycznych bagien. Basen — obśadzony pięknymi drzewkami owocowymi — to zaledwie fragment licznych urządzeń sportowych. Obok są bieżnie, boiska... Prawdziwy stadion! Radio w każdej chałupie i bibliotece gromadzą — to też rezultat starań, przekonywań i zachęty lekarza. Nie było to łatwe. Gdy trzeba, doktor chwycił sam za łopatę i — przyszło nieraz — samotnie odwałł stęchłą przeszłości oraz mur wrogich uprzedzeń.

A rezultat? „Na palcach — mówi dr Balasz — można dziś policzyć bójkę i awantury we wsi”. Można zatem już odpocząć i cieszyć się dokonaniem? Nie, trudno dziś siedzieć z założonymi rękami. Są już dalsze plany. Powstanie ul. Sportowa, a przy niej sanatorium dla ozdrowieńców, dom kultury, hale sportowe. „Da się radę — śmieje się dr Balasz. — Uciulałem już sobie tu niemały kapitał... zaufania. A i państwo pomoże, tak jak i dotąd”.

Autorka nagrodzonego pierwszą nagrodą „Pamiętnika”, dr Zofia Karasiówna — zgorzkniała w beznadziejnej walce już nie o zdrowie, a o życie ubogiej wsi podhalańskiej — marzyła tylko we śnie o prymitywnej choćby izbie porodowej na wsi. A dalej? „Zaczekam, aż w każdej wsi będzie szpital lub jeden na kilka. Zaczekam dwieście lat, może pięćset”. Pisała to w 1939 r.

Dawno? Niedawno. Przemienięło kilkanaście lat i... ustrój. W tym właśnie tkwi tajemnica sukcesów dr Balasza. Jego społeczna inicjatywa, powstała z zapadniętych idei wymarzonego przez ludność nowego ustroju, spotkała się z pomocną dłońią państwa ludowego. I oto lekarz realizuje jedno po drugim dzieła przerażającego marzenia całego pokolenia Judyków. W trakcie tej walki wychodzi poza granice swego zawodu. Stał się twórcą i organizatorem rewolucji na wsi. Nie tylko kulturalnej: „Po ul. Sportowej dr Balasz pokazał nam ul. Spółdzielczą” — zapewnia jego rozmówca z radia. Bo taka to już jest logika socjalizmu. A logikę — jak wiadomo — wykładają na wyższych uczelniach. Logikę uczy także życie. Nasi lekarze — wiejscy — jak cały nasz naród — sprawdzają teorię w życiu. Dowodzi tego przykład dr Balasza — jeden z wielu.

Z. K.

W pierwszych dniach lutego przeszli się między oblodzonymi opłotkami cztery wiadomości. A otóż one:

Józek Stanuch wykazał zdolności złodziejskie nawet w więzieniu — udowodniono mu kradzież książek z zarządzanej przez niego biblioteki. Do kary pół roku przylepiono mu jeszcze rok. Zawiadomił o tym zonę, przysyłając jej kartkę przez wypuszczonego na wolność współwięźnia. List zalecał także przetrzymanie kolegi aż do powrotu Stanucha. Ktoś zaryzykował twierdzenie, że Józek woli oddać babę w dzierżawę jednemu, niżby miała po przyjemności swego wiekła latać wieczorami i nocami od babiarza do babiarza. Zaraz przyszło potwierdzenie: kolega Józka, mężczyzna nie starszy niż ćwierć wieku, z pofalowanymi włosami i szluzie smolistym wąsikiem, robi porządki w kuchni, myje statki, a Stanuchowa grzeje się rozplamięta w łóżku i kłiwie nawołuje: „Mieciu, nie narywaj się. Tyle dobrego co człowiek poleży. Niechby z piekła nie wyłaził ten, co robotę wymyślił. Miećki...”. Mężowi swojemu nigdy nie schlebiała zdrobnienia... Sprawa jasna.

Druga wiadomość głosiła o włamaniu do niewykończonej chlewni. Ktoś wlał tam, na pewno w nocy, przez niezaskłone okienko i wyniósł dwa worki makuchu, przeznaczonych dla krów spółdzielców. Zasmiewano się do rozpuku zniefachuści złodzieja. Ukradł makuch wartości dwustu złotych, a zostawił także dwa worki z nasieniem koniczyzny, które Gminna Spółdzielnia przysłała do wiosennego wsiania w ozimie. Nasienia było ponad sto kilogramów, cena za kilogram trzydzieści złotych. Pech złodzieja aż nazbyt widoczny.

Trzecia wiadomość donosiła o powrocie z wojska zadzierzystego Maćka Buraka. Tego zuchwale!

Czwarta wiadomość zapowiadała zebranie sprawozdawcze - wyborcze spółdzielni, rozliczenie i ustalenie wysokości dniówki obrachunkowej za feralny rok 1952, jako też powzięcie decyzji co do dalszych losów spółdzielni. Nie wykuczano możliwości jej rozwiązania.

W ten wieczór w większości domostw „kolchozników” nie zabłyśły lampki elektryczne. Ludzie poszli spać z kurami. W ten sposób uciekano od decyzji. W świetlicy znalazło się zaledwie kilka osób, przeważnie kobiety. Mężowie ich „zapisałi” grunt i poszukali pracy w mieście, a przyjeżdżali do żon tylko na niedzielę, psionicę, że ziemia nie im nie daje. Przewodnicząca spółdzielni, Kujawkowa, ładna, o łagodnych oczach, tłumaczyła słabym, melodyjnym głosem aktywistom przybyłym z powiatu i gminy:

— Cóż ja poradzę? Krytykują mnie, ale ja przecież z niechęcią przyjąłem to stanowisko. Posłuchajcie mam, bo nawet nie jestem członkiem spółdzielni, tylko małżonką. On wnosił ziemię, a teraz jest kierownikiem Gminnego Ośrodka Maszynowego. Idźcie, popukajcie, może członkowie przyjdą.

Przyszło wielu. Przedstawiciel Komitetu Powiatowego partii zagalopował się tak daleko, że żądał (tymczasem nieoficjalnie) wyrzucenia ze spółdzielni niemal wszystkich oprócz... jednego. Tym wybra-

WŁADYSŁAW MACHEJEK

REZERWISTA

nym był Franciszek Burak, ojciec Maćka, który... ech, co tu dużo gadać — wyrabia za innych dniówki. Mięśnie u niego jak żarna.

Od dymu tytoniowego już było gorzko. Kujawkowa z niepowodzeniem zakłopotaniem otworzyła zebranie. Gdzieś podzielała się jej rumianność, ust nie byłoby widać, gdyby nie poruszał ich szmer słów, zresztą źle sklejonych. Tylko pod czołem błyszczały pomarańczowymi iskami zdmknięte oczy. Zgadzała się z tym, że podsumowanie całorocznej działalności nastąpiło w

rozwiązaniem spółdzielni. Kto podał wniosek? Ale i do tego nikt się nie kwapił. Siedzieli w milczeniu, przynębianie zmiołło resztki uśmiechów z twarzy. A później kościasta Bańbulina powiedziała, że chce jeść chleb, a nie same ziemniaki, znaczy jest za spółdzielnią, ale dobrze rządzą. Uzupełniła ją rozlana Kucyperka, porywczo dając powołania przewodniczącego z innej gromady, jeśli na miejscu nie ma zdolnych. Większość pragnęła utrzymania nowej gospodarki, ale bez wrogów... Nikt jednak

rażliwie mądrego. Uciekli od staro- go a do nowego nie dobiegli, bo stracili kierunek. A przecież pokazywano im ten kierunek. Co ich zepchnęło z drogi? Rozeźliła ich dufność Kujawkowej. — Co to za statut? — Czemuż nie pilnowała statutu, gdy Misiek wyjechał tamtego lata na dział spółdzielczy i siekl koniczyne dla swoich krów. Ile fur usiekl? Czy to było jakoś mierzone albo liczone w dniówki? Brał, jak niczyje. Za nim poszli inni. I wtedy wszystko się rozkleiło. Dochodzili do wniosku, że cała



Rysunek Franciszka Gaworzyńskiego, ludowego artysty ze wsi Rzępcza powiat Rawa Mazowiecka

piętnastu innych spółdzielniach w powiecie, bo one pracują nieźle, natomiast w R. trzeba podsumować niedbalstwo. Cóż, dniówka wyniosła zaledwie 9 złotych z groszami, gdy w roku ubiegłym 14 złotych. Cofamy się. W Faliwowie dniówka czterdzieści złotych. Ale ja niewinna. Nie chciałam być przewodniczącą. — Zakończyła miękkiem gestem bezradności.

Nie mogło być gorszej sytuacji, jak ta apatia. Bo komuż, czy czemuż zaskodząliby gardłace? Kogoż by pogryźli? Czasem tylko wzbuchał śmiech, gdy dowiadzano się, że temu czy owemu nie tylko nie należy się z rozrachunku, ale musi jeszcze dopłacić. Ewa, która po kursie została księgową w spółdzielni, przyjmowała bezwzględnie rachunków jak własną winę. Głowa jej z kruczymi włosami upiętymi na karku, opadała wtedy bardzo nisko nad rozległymi arkuszami i podnosiła się dopiero za chwilę, by zerknąć w kąt, gdzie siedział niemo Maćka. Krepy chłopak pokazywał w uśmiechu rzadkie, silne zęby, a czapka zesuwająca mu się do tyłu. Zebrani zjeśli wewnętrznie jeszcze bardziej. Dyskusja, dyskusja samokrytyczna, którą próbowali rozetlić wszyscy po kolei przybyli goście, także nie udała się.

Zda się nie pomogłaby iskra z gromu, takim był materiałem namokłym niewypalakami łzami. Więc poczęto pytać, kto jest za nie nazwał wroga po imieniu. Nie umieli nazwać. Wszyscy byli do siebie podobni, podmyci niepowodzeniami, straceni.

W kącie zasyczała zapalka, ułpynął moment dla „stachnięcia” się papierosem i zaraz odezwał się ochrypły i zapalczywy głos Maćka, który czekał z niecierpliwością, by zabrać Ewę do domu. Chciał się nią nacieszyć, zawręć oficjalnie małżeństwo i za kilka dni odejść na kolej.

— Słucham i słucham — mówił, a cała sala, jak jeden tułów, wykonała półobrot w jego stronę — i nie nie rozumie. Albow ja głupi, albo wam wyjęto mózgi, że gęgać jak gęsi. Jest jakiś regulamin na prowadzenie zespolowej gospodarki, czy wszystko wiści w powietrzu? U nas w wojsku...

— Towarzyszu! — przerwał mu energicznie spłoszony przedstawiciel Komitetu Powiatowego — spółdzielnie to nie wojsko. Dawniej jakby pisk sowa. Zdumiał się. Sowy domowiły się tylko w starych budynkach. Gdy przybliżył się na odległość kilku kroków pisk w jego uszach przybrał brzmienie ludzkich głosów.

— No już, już — dyszał głos kobiety. — Przyswiece a ty wyrzucaj oba worki. Nie pomył znow z makuchem.

Zagadka wyjaśniła się. Maćka słyszał o próbie kradzieży spółdzielczego nasienia koniczyzny. Skoczył do ołna, przez które wsu-

karuzela wydarzeń ruszyła od owe- go właśnie dnia. Spółdzielcy szukali paszy na polach oddanych indywidualnym, ci zaś z kolei wyrzucali sobie między na spółdzielczym, „Od rzemyczka do koniczka”.

Ale ofuknięty, rozczarowany Maćka nie słyszał tych gorzkich żalów. Znow zapalił papierosa i wyszedł przewietrzyć się. Nie będzie się wtrącał w nieswoje sprawy. Żal mu było tylko ojca. Ewę zaś, może niezadługo, zabierze z sobą. Spółdzielnia rozleci się, odejście Ewy nikomu nie zaszkodzi. Szedł powoli przed siebie, bez celu, lazrowa noc płynąca ku mglistym lasom i wlaterek delikatnie drępaczy za nim uspokajały nerwy. Miął ostatnie domy i przystanął. Niedaleko „wyrastała” niewykończona chlewnia z zarysem nieprzykrytych krokwi. Dochodził stamtąd jakby pisk sowa. Zdumiał się. Sowy domowiły się tylko w starych budynkach. Gdy przybliżył się na odległość kilku kroków pisk w jego uszach przybrał brzmienie ludzkich głosów.

— No już, już — dyszał głos kobiety. — Przyswiece a ty wyrzucaj oba worki. Nie pomył znow z makuchem.

Zagadka wyjaśniła się. Maćka słyszał o próbie kradzieży spółdzielczego nasienia koniczyzny. Skoczył do ołna, przez które wsu-

nęli się złodzieje z triumfującym krzykiem.

— Mam was, ptaszki! W ciemności wionął szelest ubrań.

— No! — przynaglał. — Wyrzucać worki. Pójdziecie z nimi na zebranie — zachichotał zachwycony złościowym dowcipem.

— Mieciu, nie bój się, on zdembilizowany. — Maćka poznał Stanuchową i krzyknął o ton wyżej, — Bo z was flaki powypruam!

Za chwilę odebrał przez okno napećniałe worki i następnie zarzucił je na plecy Stanuchowej i jej kochankowi ze smolistym wąsikiem. Widział, jak dygocą na nim portki.

Zebrany w świetlicy sprawił nie lada sensację. Nie doszli tam jeszcze do żadnego postanowienia. Worki opadły przy drzwiach.

— Nie, bratki, nieście pod sam stół... Spółdzielcom przed oczy — zakomenderował z chichotem. — Tak oni dbają o swoje dobro! Co ich obchodzi? Czy Kujawkowa nie mogła koniczyzny zabrać do siebie? Choćby dziś, po pierwszej naucze.

Złodzieje, malinowi na twarzach z wysiłku, przystaszczyli worki przed stół. Ale ludzie nie patrzyli na nich tylko na surowego Maćka jakby w obawie, że i im każe za karę nosić te ciężkie worki. Ze świek bojaźni byli jednak ucieczeni. Tak, radosnym bólem jak przy prostowaniu wygiętych pleców. I wtedy Kucyperka, która żądała przewodniczącego z innej wsi, klasnęła w dłonie i nabrała jednym lykiem pełną pierś powietrza.

— Maćka, to zostań we wsi. Ojca tu masz i Ewę... Gdzie będziemy szukać przewodniczącego.

— Pewnie — poparły ją natargiwe inne kobiety. Gotowe były przyjąć baty, byle nie gardził zbłąkaną wsią. — Co będziemy rozwiązywać spółdzielnię? I tak przyjdzie znow zakładać... A my wcale nie myśleliśmy stać w poprzek prądowi. W pierwszym roku wcale nie było źle. Zostań.

Z początku zaśmiewał się do rozpuku. — Ach, to ci żart! — ale w końcu zrozumiał, że tylko on żartuje z poważnego nastroju. Teraz skłonił się do szczeroci.

— Ja muszę na kolej! — Mieję serce choć dla mnie — wnieśli się Burak i więcej tłumaczył drzącą ręką niż słowami. — Ja tu dłużej nie wytrzymam.

Maćka spojrział na Ewę, porozumiał się. Na korzyść przyszłej spółdzielni wyszły także usmiechnięte a kaśliwe uwagi urażonej Kujawkowej.

— No, teraz kobietki będą latać do spółdzielni. Będą miały młodego chłopca za przewodniczącego.

Ewa wstała i usiadła z zaskłonymi przez łyż oczami. Kobiety, zarumienione, dotknięte, podniosły wrzask żagrzewając się wzajemnie. — Co nam będzie kto uragał? Stanuchowa jestem, żebym się puszczała? Właśnie, że chłopów sprowadzimy do siebie, może tam gdzie latają za innymi.

Wrzask ucieszyło dopiero postukiwanie Maćkowej pięści w stół. Pracę zaczynał od stanowczego ostrzeżenia:

— Ja te przepisy, o których mówiłem, wynaję sobie, nauczymy się ich... Bez porządku zdechlibyśmy z głodu.

Ludzie rozjaśniali się, jakby ubierali się w nowy przydziewek.

Władysław Machek

RYSZARD PSZCZÓŁKOWSKI

SZKIEŁKO CZARODZIEJA



mat. A. Wróbel

Za siedmioma górami, za siedmioma rzekami, za siedmioma morzami... tak zaczyna się większość bajek na świecie. Tymi też słowami zaczynała zawsze swoje bajki babka Pawlakowa z Zalesia. Rozszerzone o ciekawości czy chłopaków i dziewcząt, którzy zbierali się wieczorami w przylutnej izbie starszki, wlepiły się w pomarszczoną łatami twarz opowiadającej, oczekując niecierpliwie na zakończenie losów i perypetii bohaterów bajek: dzielnych szewczyków, skrzywdzonych przez los sierot, czy najmłodszego, głupiego brata, który potem okazał się najmądrzejszym spośród swoich starszych braci.

Mała parcelanka wieś leżała na uboczu, z dala od głównego traktu i wielu w niej było ludzi, zwłaszcza starszych, którzy poza swoją gminą nie widzieli nic innego. Z młodych, którzy wyszli „na nauki” do miasta, rzadko kto wracał do swojej chałupy. Niekiedy pracowali co prawda sezonowo w po-

bliskiej cukirowni, ale kiedy przeciagły hukcek syreny oznajmił koniec kampanii, w Zalesiu wszystko wracało do starego porządku.

Oprzet w obecności, czasem jakaś zabawa czy loteria w miejscowej szkole... i bajki u Pawlakowej aż do wiosny.

Pawlakowa, która całe życie spędziła na posługach w dworach, znała wiele bajek; nie starczyło ich jednak na wszystkie wieczory jesienno-zimowe. Kiedy więc zapas wyczerpał się, zaczynała od początku. Szczególnym powodzeniem cieszyła się zarówno wśród młodzieży jak i u starszych bajka „O szkiełku czarodzieja”.

Choćba pamięć Pawlakowej niekiedy zawodziła, bo raz było to cudowne szkiełko w rękach czarodzieja, a drugi kryształowa kula skradzioną przez jakąś wiedźmę, sens bajki pozostał ten sam: czarodziejskie szkiełko, przy pomocy którego można widzieć to, czego żadne oczy nie zobaczą.

Niejeden ze słuchających chciał być posiadaczem takiego szkiełka, niejeden głowił się, czy nie udałoby się go zbudować.

Ba! Sama Pawlakowa oddawała resztę swoich lat za to, aby chociaż przed śmiercią mogła raz w takie szkiełko spojrzeć, zobaczyć w nim swoją przyszłość, dopytać się, co się stało z jej jedynym synem, który zginął gdzieś w świecie, szukając przed wojną roboty na obczyźnie.

*

Pewnego razu Pawlakowa ciężko zaniemogła. Przerwały się opowieści, opustoszała gościnna izba. Tylko od czasu do czasu ktoś zjeżdżał zajął do starszki, aby jej podać ziółka czy poprawić poduszke.

Nastąpiły długie wieczory zimowe. Któregoś dnia na chałupie sołtysa wykwitł niebiesko - czerwony afisz: Dnia tego a tego w szkole odbędzie się odczyt Towarzystwa Wie-

dzę Powszechnej p. t. „Świat Istot niewidzialnych”. Tuż pod tytułem odczytu widniało nazwisko prelegenta.

Tego dnia pogoda była wstrętna. Zamiast gładkiego nieba, z ołowianego nieba mżył uprzykrzony kapusznik, wiszący się uprzykrzywie za kolumny tych, którzy zmuszeni byli wyjść z izby.

W chałupach zapalały się światełka.

Najjaśniejsze z nich zabłyśło w szkole. Wiadomo: lampa żarowa, to nie to co kopcząca naftowa „piątka”.

Nauczycielka Krupińska z niecierpliwością zerknęła na zegarek.

Kwadranś po szóstej pod drzwiami wszczął się gwar. Przychodzili pierwsi słuchacze. Józek od Walczaków, Franka, Marychna i Wicek. Zjawił się też — z urzędu — sołtys Marciniaś i kilku starszych gospodarzy.

Strząsając krople deszczu z sukmana i siorągając nosami, zaczęli sadzić się w ławkach, które trzeszczały pod naporem nieprzyzwoitych do nich „lokatorów”.

Nadzieja wstąpiła w serce nauczycielki. Jedna tylko myśl dręczyła ją teraz: czy prelegent TWP nie za-wiedzie?

Furmanka przecięła była do stacji wysłana.

Miał jechać Krzyściaś. Widząc na sali jego syna, Krupińska chciała się upewnić, czy podwoda odeszła. Okazało się, że ojciec Franka nie pojechał, bo... zapomniał.

Na sali podniósł się gwar. Ten i ów zaczął już zerknąć na drzwi, ktoś marudził pod nosem, że ludzie zwolnie się na próżno.

W tej chwili rozległo się pukanie. Złany strugami deszczu, upaśćkany w błocie po kolana, wszedł na salę człowiek, ubrany z miejską, w okularach na nosie.

Krupińskiej spadł ciężar z serca. Przyprowadziwszy jako tako swój ubiór do porządku, prelegent prze-

prosił obecnych za spóźnienie i przystąpił do rzeczy.

Mówił o tym, jaki jest ograniczony wzrok ludzi i dlaczego niektóre przedmioty nie możemy dostrzec gołym okiem. Jak przez długie lata uczeni badali przyczyny wywołujące fermentację różnych płynów i choroby zakaźne, aby przekonać się o ich szkodliwości.

A wreszcie o tym, jak wynaleziono mikroskop, dzięki któremu cały, niepozowny dotychczas świat, świat istot niewidzialnych, został przez człowieka odkryty i wciągnięty w służbę ludzkości. Mówił i o tym, że kapitałisci chcieliby cały ten świat bakterii i mikrobrów zaprząć w służbę wojny i zniszczenia człowieka.

Wrażenie było ogromne. Marciniaśowi nie mogła wyjść z podziwu, że kwasnienie mleka następuje z winy, a raczej za pomocą jakichś tam niewidzialnych bakterii; Gumiński dopiero teraz zrozumiał, że gdyby nie zastrzyknięto jego chłopakowi osłabionych zarazków wścieklizny, jego syn dawno by spoczął na wiejskim cmentarzu. Wsłabski Wicek nie mógł usiedzieć na miejscu nie mogąc doczekać się prawa głosu. Otrzymałszy je wreszcie, wykrztusił:

— Gdyby tak można było zerknąć chociaż raz w takie „szkiełko”, zobaczyć to wszystko, o czym mówił wykładawca.

Prelegent przyrzekł, że za dwa tygodnie przywiezie mikroskop.

Opowiadania starej Pawlakowej o „czarodziejskim szkiełku” nabierały realnych kształtów. Geniusz ludzki nadawał fantazji konkretną treść. Wszyscy nie mogli doczekać się niedzieli.

Wreszcie nadszedł upragniony dzień.

Jakoś koło południa przed szkołę zajeżdżał granatowy duży samochód.

— Warszawa M 20 — zawyro-kował wszechwładzący Wicek. — „Model 1951”.

Wysiadło z niego trzech ludzi.

Wiesć o przyjeździe prelegenta rozeszła się lotem błyskawicy po

wsi. Kto żyw podążył do szkoły. Nawet stara Pawlakowa zwołowała się z posłania i pokuszyła pod szkołę; bo i do niej doszła wieść o tym wydarzeniu.

W sali szkolnej rozstawiono na stołach mikroskopy. Przygotowano preparaty. I oto po raz pierwszy w swoim życiu i stara Pawlakowa, i sołtys Marciniaś, no i oczywiście Wicek — zobaczyli coś, czego nie widzieli nigdy: groźne lasceki grzybkowe, pedzelki zwykłych drożdży, komórki ciała ludzkiego i roślin, przekorki nasion sporyszu, który im tyle szkody wyrządził w zbożu.

Przysła bajka o szkiełku czarodzieja.

Na zakończenie wieczoru jeden z przybyśców wręczył zdumionej nauczycielce mikroskop.

— Wojewódzki Ośrodek Doskonalenia Kadr ofiarowuje go wam, koleżanki, dla tutejszej szkoły. Korzystajcie z niego dla dobra dzieci i miejscowego społeczeństwa.

Podarunek był tak nieoczekiwany, że zebrani przez długą chwilę nie mogli przemówić słowa. Zanim Krupińska wyciągnęła rękę na podziękowanie, podkończył już do przybyśza sołtys Marciniaś i ująwszy oburącz cienką dłoń profesora w swoje spracowane ręce, zaczął mu dziękować. Niezdarnie to mu szło, ale gdy wreszcie skończył, gromkie oklaski zakończyły to niebywałe zdarzenie w życiu Zalesia.

*

Bajki, opowiadane przez babkę Pawlakową, stają się rzeczywistością. I ta o siedmiomilowych butach, która zamieniała się w samolot odrzutowy. I ta o maczudzie Majejowej, która zamieniała się w energię atomową kruszącą góry i odwracającą bieg rzek. I ta o magicznym słowie, otwierającym zaklęte góry, która przetrwała postać fotokomórki elektrycznej otwierającej na odległość zapory wielkiego kanału Wołga — Don. Pawlakowa zaś jest jedną z najpilniejszych słuchaczek TWP.

Ryszard Pszczołkowski

STEFAN ZIELICZ

JÓZEF JARMUŁA

Dyskusja nauczycieli

JÓZEF RATAJCZAK

ROK 1945

LENIN o sojuszu robotniczo- chłopskim w Polsce

Niezmiennie potrzebny i cenny jest wydany ostatnio w trzyletniej rocznicy śmierci Lenina zbiór jego prac „Lenin o Polsce i polskim ruchu robotniczym“.*

Trudno tu omówić wszystkie najważniejsze zagadnienia, poruszane w zbiorze — ograniczymy się przede wszystkim do podkreślenia jednego tylko problemu: stosunku ruchu robotniczego do chłopstwa i sojuszu robotniczo-chłopskiego.

Jednym z najważniejszych błędów, popełnianych długo w polskim ruchu robotniczym było niedoceniać możliwości rewolucyjnych chłopstwa i sojuszu robotniczo-chłopskiego. Niskotoryż działacze — według obrazowego wyrażenia Lenina — widzieli tylko „odwrotną stronę“ chłopca, przykuto go do swej działki — i nie chcieli zrozumieć rewolucyjności chłopca, walczącego o likwidację obszarnej własności ziemskiej. A tymczasem właśnie zlikwidowanie obszarnej własności, dopóki ta własność istniała, musiała być pierwszoplanowym zadaniem zarówno chłopów, jak i robotników, wywalczyć zaś zwycięstwo nad obszarnikami i obszarzystami państwem mogli robotnicy jedynie przy pomocy całego chłopstwa, mogli chłopcy jedynie pod kierownictwem klasy robotniczej. Treba było zatem wówczas walczyć o realizację przede wszystkim wspólnego programu klasy robotniczej i całego chłopstwa — o rewolucyjną konfiskatę i podział majątków obszarzystych.

„W obecnym ruchu chłopskim — pisze Lenin w r. 1905 — widzimy walkę z ustrójem państwowym, walkę z obszarystami i z państwem obszarzystycznym. Walkę tę popieramy do końca. Jedyną słuszną hasła dla takiego poparcia: konfiskata przez rewolucyjny komitet chłopski... Żeby reforma agrarna, nieunikniona w Rosji współczesnej, odegrała rolę rewolucyjną — demokratyczną, jest tylko jeden środek: przeprowadzenia jej z rewolucyjnej inicjatywy samych chłopów, wbrew obszarystom i biurokracji, wbrew państwu, tj. przeprowadzenia jej w drodze rewolucyjnej“.

Lenin uczył więc, że walka mas chłopskich o ziemię łączy się ściśle z walką o obalenie caratu i obszarzystycznego państwa. Lenin uczył, że doprowadzić tę walkę do zwycięskiego końca może tylko sojusz klasy robotniczej z chłopstwem.

We wrześniu 1905 r., podając krytykę ówczesnego projektu programu rolnego PPS, demaskuje Lenin tych wszystkich, którzy uważali, że chłop, jako posiadacz (choć drobnym posiadaczem) związany jest z kapitalizmem i wcale nie odczuwa potrzeby walki o socjalizm, nie może być w tej walce sojusznikiem proletariatu.

„Nie jest to nie innego — mówi Lenin — jak tylko echo burżuazyjnej ekonomii politycznej. Burżuazyjni ekonomiści wszelkimi siłami starają się zasugerować drobnemu chłopu ideę możliwości pogodzenia kapitalizmu z dobrobytem drobnego rolnika — posiadacza. Dlatego przesłaniają ogólnie zagadnienie gospodarki towarowej, uciśku ze strony kapitału, upadku i degradacji drobnej gospodarki chłopskiej... Zamykają oczy na to, że wielka produkcja w specjalnych handlowych gałęziach rolnictwa rozwija się i na gruncie średniej własności rolnej, że własność ta rozkłada się i wskutek wzrostu czynszu dzierżawionego i pod biżmieniem hipoteki, i pod naciskiem lichwy. Pozostawiają w cieniu bezsporny fakt przewagi technicznej wielkiej gospodarki w rolnictwie oraz upośledzenie warunków życia chłopu w jego walce z kapitalizmem“.

Nawet najbardziej radykalna reforma rolna nie może sama przez się zabezpieczyć pracującego chłopstwa przed wyzyskiem kulackim, nie może zapewnić chłopstwu stałego wzrostu dobrobytu. Cel ten może zostać osiągnięty jedynie dzięki likwidacji wszelkiego wyzysku, jedynie poprzez zorganizowanie społeczeństwa socjalistycznego. Może tego dokonać wyłącznie klasa robotnicza w sojuszu z pracującym chłopstwem. Troskę o trwałość tego sojuszu — o usunięcie niechęci i nieufności pomiędzy pracującym chłopem — posiadaczem z proletariatem miejskim, czy wiejskim — szczególnie dobitnie wyraża krótki telegram, skierowany w sierpniu 1920 r. do Feliksa Dzierżyńskiego, wówczas członka Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego Polski:

„Jeśli w gubernii siedleckiej małorolni chłopcy zaczęli zagarniać majątki, to bezwzględnie trzeba podjąć specjalną uchwałę polskiego rewkomu (Komitetu Rewolucyjnego), aby koniecznie dać część ziemi obszarzystej chłopom i za wszelką cenę pogodzić małorolnych chłopów z robotnikami rolnymi“.

Genialny dorobek myśli leninowskiej nie od razu przyswojony został przez polski ruch robotniczy. A przyswojenie i wykorzystanie tego dorobku było podstawowym warunkiem wyzwolenia zarówno klasy robotniczej, jak i pracujących mas chłopskich z jarzma uciśku i wyzysku obszarzysto-kapitalistycznego. I dziś w całej naszej walce o socjalizm musi nam być wytyczną wskazówka Lenina, że szczęśliwe życie zbudować może tylko klasa robotnicza razem z chłopstwem, koniecznie razem z chłopstwem i koniecznie przy kierownictwie klasy robotniczej.

Stefan Zielicz

* „Lenin o Polsce i polskim ruchu robotniczym“ artykuły, przedmowa, dokumenty — „Iskra“ — Książka i Wiedza, str. 594, Warszawa, 1954 r. Cena 10 zł 30 gr.

W sprawie naszej młodzieży

Wzawodzie nauczycielskim pracuję przeszło 50 lat w Padwii mieszkam od 52 lat, a mimo to nie mogłem sobie poradzić w ostatnich latach z młodzieżą pozaszkolną.

Jako kierownik świetlicy gminnej chciałem przede wszystkim pobudzić do życia koło ZMP. Używałem różnych sposobów, wszystko daremnie. Nie nie wyszło z chóru, zespołu czytelniczego; gazetki także nie miał kto redagować; nawet gry świetlicowe nie cieszyły się spodziewanym powodzeniem. Cóż dopiero mówić o zespołach artystyczno-dramatycznych. Jakież znaleźć wyjście? Przecież młodzież pozaszkolną w Padwii nie brak.

Jeszcze w listopadzie ubiegłego roku zwołaliśmy razem z KG PZPR zebranie sprawozdawczo-wyborcze. Mielśmy nadzieję posunąć robotę świetlicową naprzód. Na zebranie przybyła jednak znikoma liczba członków ZMP.

Wziąłem się tedy do sprawy na inny sposób. Mam 73 lat; sądziłem, że młodszy kierownik świetlicy łatwiej porozumie się z młodzieżą. Zaproponowałem więc członkom koła, by wydelegowali kogoś na kurs świetlicowy. Kurs bezpłatny, stanowisko zaszczytne, państwo przychodzi z pomocą. Nie znalazłem jednak chętnego. Dlaczego? — oto doprawdy poważne pytanie.

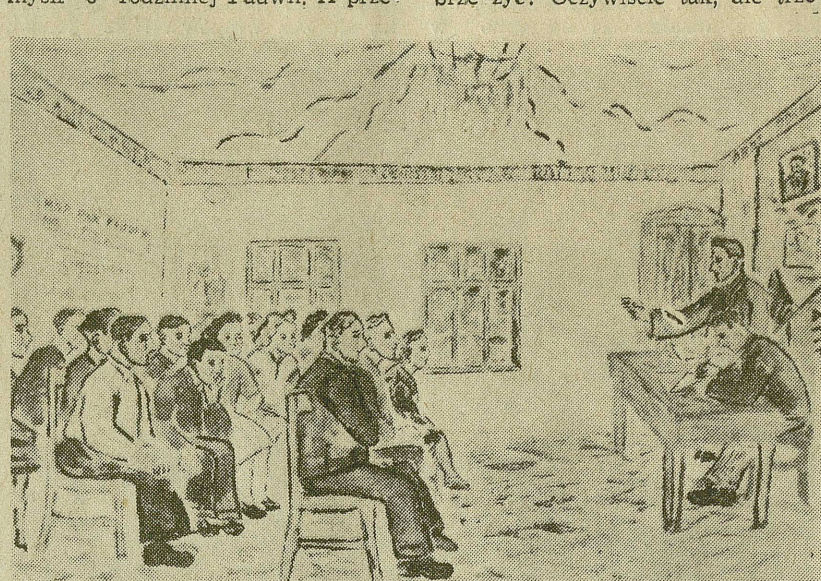
Co innego młodzież szkolna. Na podstawie własnych doświadczeń w pracy mogę stwierdzić, że grono nauczycielskie z Padwii, mimo trudnych warunków miejscowych, uczyniło bardzo wiele na odcinku socjalistycznego wychowania młodzieży. Pójdą nasi wychowankowie w świat przygotowani. Rwą się do czytania; wiedzą bardzo dużo o naszej i radzieckiej literaturze; potrafią poważnie o niej dyskutować. Co więcej, obserwujemy jak zaszczepia się w sercach naszej młodzieży szkolnej wielu pozytywnych bohaterów. A młodzież pozaszkolna? Gdzie jej tam do tych gorących dyskusji nad „Młodą Gwardią“, gdzie do tak serdecznego przejścia się komсомольcami budującymi rurociągi daleko od Moskwy!

Czy należy szukać winy w złej pracy naszego kolektywu nauczycielskiego?

Ileż to razy nauczyciel bywa odrywany od warsztatu pracy do ważnych akcji państwowych! A musi przecież odrobić w szkole swoje 5 godzin obowiązkowych, lekcje nadleżbowe, prowadzić wykłady na kursach wieczorowych, poprawić prace piśmienne, przygotować się do następnych lekcji, napisać odpowiednie konspekty według wskazań Kairowa, przemysleć następny temat na szkolenie ideologiczne, przygotować się do egzaminów.

W tych warunkach zagadnienie oddziaływania na młodzież poza-

szkolną jest nie lada problemem. Tym więcej — i w tym sensie, że młodzież ta w głównej masie pracuje w Miellu. Nie jest to wprawdzie daleko, ale przez większą część dnia nie mamy nad nią żadnej kontroli wychowawczej. A musimy powierzyć z całym szacunkiem dla prawdy, że nasza młodzież pracująca myśli najwięcej o zabawie. Niestety, „zadawanie fasonu“ polegające na stawianiu wódki za „swoje pieniądze“ nie należy do rzadkości. Młodzież ta wiele nie myśli o rodzinnej Padwii. A przecież



„Zebranie ZMP-owskie“ — rysunek Jana Jarusika — syna małorolnego chłopca ze wsi Cieklin powiat jasielski

cież borykamy się z poważnymi trudnościami. Nasza niedawno powstała spółdzielnia produkcyjna liczy teoretycznie 26 członków, do pracy staje jednak tylko część, która co prawda bez pomocy z zewnątrz, kosztami wielkich wysiłków wykonała jesienny plan zasiewów. Pozostali, to przeważnie rozmaici urzędnicy, a także i przypadkowi czy nawet wrogowie polityczni element.

Wydawać by się mogło, że stosunkowo ciężka sytuacja spółdzielni produkcyjnej w rodzinnej wsi, głęboko leżące będzie na sercu młodzieży ZMP-owskiej, odcierając się przecież o nowoczesne, socjalistyczne zakłady pracy. Tego jednak, co można nazwać poczuciem odpowiedzialności za losy rodzinnej wioski, w której przecież młodzież ta nadal mieszka — nie widać. Nie widzą także dymy, która nie pozwoliłaby marnie młodzieńcemu zapalowi, kiedy Padwia wlewa jeszcze żel zafosana.

Jest to, jak mi się zdaje, bardzo poważny problem. Problem młodych robotniko-chłopów, którzy zarabiają stosunkowo dużo, ale nie są należycie obciążeni opieką polityczną i kulturalną. Na nauczycielskich konfe-

rencjach sierpniowych podawano przykłady bardzo wymowne. Mówiono chociażby, że młodzież często nie chce się dalej uczyć; wbrew woli rodziców i wbrew zdolnościom ucieka do budownictwa, gdzie może — zawdzięczając siłę młodości — zarobić grubo ponad tysiąc złotych miesięcznie. Jest to w życiu młodego człowieka przełom tak nagły i rażący, że nie ogląda się takty świeżo upieczony robotnik na kłopoty rodzinnej wioski.

Czy w Padwii można będzie do-

brze żyć? Oczywiście tak, ale trzeba

ba włożyć wiele trudu w przewyższenie trudności, trzeba nie mieszać, ale znacznie więcej popracować i nad spółdzielnią, i nad resztą wsi, stanowiącą większość. Wydaje mi się, że młodzież nastawiona jest na doraźny zarobek, który stanowi dla niej największą atrakcję. Wynikałoby z tego, że zakłady pracy, zatrudniające młodzież pochodzenia chłopskiego, nie umiemy jej należycie wychować, nie potrafimy zapalić do ciężkich zadań na wsiach, w których mieszka. A z młodymi to jest tak: kiedy stawiają wielką fabrykę, widzą wyraźnie rezultaty swojej pracy, z dnia na dzień obserwują rosnące dymy na dachach. A w małej Padwii rezultaty nie byłyby na oko takie oszałamiające.

Stoi więc przed nami wielkie zadanie ukazania młodzieży wielkości zadań, czekających ją na wsiach. Młody mechanik z Miellu odnajdzie swój życiowy zawód w GOM, murarz przy budowie nowej szkoły, a przede wszystkim nowych domów spółdzielczych.

Sadzę, że sprawa młodzieży na wsi — trudna niewątpliwie do jakiegokolwiek rozwiązania — powinna stać się przedmiotem dyskusji na łamach prasy.

Józef Jarmuła

EDMUND POL

W SZKOLE I TERENIE

Pochodzę z małej wioski Trzask, leżącej w piotrkowskim powiecie. Wiele mogłbym napisać o smutnych doświadczeniach dziecka wiejskiej biedoty. Przez kilkanaście lat nie widziałem miasta. Do Bełchatowa — 18 km, do Piotrkowa — 54. Miał świat biedy, zamknięty pagórkami i lasami.

Kwalifikacje zdobyłem w Polsce Ludowej. Ale nie bez wysiłku. Walczyłem o nie 4 ciężkie lata, dojeżdżając rowerem 25 km, a dalsze 29 km pociągami do Rejonowej Komisji. Dziś, kiedy jestem w zasadzie nauczycielem kwalifikowanym, nieustannie pogłębiając wiedzę pedagogiczną.

Niestety, wielu jest jeszcze nauczycieli, którzy naukę marksizmu-leninizmu, gruntowne studia nad socjalistyczną pedagogiką i literaturą uważają za twardą poduszkę. Jest kilka przyczyn tego zjawiska. Kto nie umie znaleźć piękna w naszym zawodzie, nie rozumie, że nasza praca jest także zwracaniem długu ludowej ojczyźnie za wykształcenie, kto myśli wyłącznie kategoriami zarobkowymi — ten szuka okazji do porzucenia zawodu nauczyciela. I właśnie dlatego nie pracuje nad sobą, by go łatwiej Wydział Oświaty zwolnił z pracy. Ale ta selekcja nie jest o tyle szkodliwa, że odrzuca ziarno od plewy, pozostawia w zawodzie najlepszych, najbardziej ideałowych nauczycieli.

Gorzej, jeżeli miejscowe „czynnik“ traktują nas niewłaściwie. Sam doświadczyłem niemałego rozgoryczenia, kiedy PGRN w Chabienicy, pow. Piotrków, gdzie pracuję, wyrzuciło mnie z mieszkania, nie dając zastępczego. Sprawy bytowe nauczyciela są bardzo istotne. Zgodnie z zaleceniem naszego rządu — powinniśmy otrzymywać podwoje w wypadkach choroby, czy konieczności załatwiania spraw służbowych, GS-y winny nas należycie zapoziwać w węgiel, drzewo, naftę i inne artykuły pierwszej potrzeby. Ale w praktyce można usłyszeć, że nauczyciel nie kontraktuje, zboża nie odstawia a zatem: — kto nie produkuję kartofli i buraków, niech poczeka na szarym końcu. Bardzo to nauczycieli rozgorycza.

Jest wszakże druga, niemniej ważna przyczyna brakorobstwa w naszym zawodzie. Chcę ją silnie uwytycznić, gdyż w dyskusji, jaka się na łamach prasy wywiązała jeszcze jesienią, przesadnie podkreślano ko-

nieczność „powrotu nauczyciela do szkoły“.

Pelnim i pełnię cały szereg funkcji społecznych w gminie i, twierdząc, że każda z nich dopomagała mi w pracy szkolnej.

Kiedy w roku 1948 rozpoczęliśmy energiczną walkę z analfabetyzmem nie przypuszczaliśmy, że kilkunastu starszych chłopów zamieni się w pierwszy mój przyszłolny aktyw, zawiązek dobrego pod względem klasowym Komitetu Rodzicielskiego.

W roku 1950 założyłem drużynę harcerską. Z miejsca zastrzyła się wokół szkoły walka klasowa. Znałszy się zagorali przeciwnicy czerwonych krawatów. Wielu dzieciom zabronili rodzice przychodzić na nasze zebrania, „zeby ich nie odmiemlił“. W sukurs poszła plebania, z ambony spylały się gromy.

I wówczas... byli analfabeci! Pierwszą poparł próbę założenia drużyny. Po pół roku miałem już 35 proc. dzieci w organizacji. No a dzieci — to jeden z najmocniejszych posostów wiodących ze szkoły w gromadę i gminę. W naszych warunkach dzieci okazały się nie tylko informatorem o sytuacji rodzinnej rodziców, ale także doskonałymi agitatorami, jeżeli chodzi o ożywienie życia kulturalnego gminy. Nasze dwa zespoły artystyczne odegrały poważną rolę w rozbudzeniu potrzeb kulturalnych gminy. Inscenizacja fragmentów powieściowych, piękno mowy poetyckiej spływające ze sceny, piękna polska i radziecka spowodowały, że czytelnictwo znacznie wzrosło. A równocześnie harcerze ze swoimi samokształceniowych kolektiwach postarali się o wysoki poziom nauczania. Tak więc praca w terenie okazała się praktycznie drugą i nierozłączną stroną walki o poziom szkoły.

Dzieci dopomogły nam także w tym, że chłopcy nauczycieli sobie wyrażnie istotę kulackiego wyzysku. Mielśmy w szkole kilka sierot. Były to dzieci zdolne, lecz nie uczyły się dobrze. Blizsze poznanie sprawy odsłoniło dramat wyzyskiwanych sierot. Dzieci pracowały bardzo ciężko na gospodarstwach, nie miały ani kąta do odrabiania lekcji, ani czasu na naukę. Wyszły nieletnich najsilniej wstrząsnął sumieniem chłopów, pozwolił na rozpoznanie bardziej zamaskowanych form działalności kulackiej — jak współczesny odrobek, zrecznie ukryty za parawanem „pomocy“ sąsiedzkiej,

czy też za parawanem „daruwiny“ pozorne zmniejszenie gospodarstwa. Nie mieliśmy wprawdzie zbyt wielu tego rodzaju wypadków, były one jednak bardzo wymowne.

W roku 1952 harcerzami zajęła się nowa nauczycielka, ja zaś poszedłem w głąb spraw gromadzkich. Prowadziłem szkolenie ideologiczne dla członków ZSL, pełniłem funkcję radnego, wreszcie zajmowałem się szkoleniem sołtysów.

W tym miejscu znowu chciałbym powiedzieć tym nauczycielom, którzy wołają: — Szkoła przede wszystkim, a teren jak starczy czasu — że się mylą. Powiązanie się z terenem, to nie jest tylko sprawa taka, że nauczyciel staje się aktywistą gminnym, dopomaga aktywowi w rozwiązywaniu konkretnych zadań. Owszem, jest to obowiązek każdego, dojrzałego politycznie pracownika szkoły. Ale nie tylko to. Gruntowne poznanie konkretnych potrzeb gminy — orientuje nas przede wszystkim w sytuacji kadrowej, pozwala odpowiednio do tych potrzeb kierować na stanowiska naszych wychowanków. Właśnie po IX Plenum stoi przed nami zagadnienie ukazywania młodzieży piękna pracy na wsi, wskazanie młodym, pełnym zapału siłom, że jest w naszych gromadach wielkie pole do zrealizowania śmiałych młodzieńczych zamierzeń. Ale tylko dobrze wgrzyziony w problematykę terenu nauczyciel może spowodować, że szkoła wychowa młodzież do walki o lepszą przyszłość ojczyzny.

I jeszcze jedno. Jakże inaczej wyglądają lekcje, jakże są konkretne i bliższe uczniom, kiedy zawierają w swej treści palące sprawy okolicy. Znamy są przecież nie od dziś wypadki, że na lekcje przyrody, kiedy to nauczyciel ocenia urodzajność ziemi w swojej gminie, zakłada ogródek miczurinowski, pokazuje eksperymenty agrobiologii radzieckiej — schodzą się rodzice.

Tak więc ściśle powiązanie się nauczyciela z terenem, stałe podejmowanie zadań działacza społecznego, wzbogaca równocześnie problematykę nauczania w samej szkole.

I dlatego można mówić tylko o właściwych proporcjach pomiędzy pracą nauczyciela w szkole i w terenie. Ale nigdy o bezwzględności powrotu do szkoły, bo to grozi „brakorobstwem“.

Edmund Pol
Chabienica, pow. Piotrków

Wstał dzień — płonący w rudym kasku
a potem zmierzch ciepłym popiołu
zasypał obłożone miasto
zbliżając noc ciężką jak olów.

Chmury opadły niosąc nisko
gorący dech w obrzmiałych ustach,
gdy niebo ogniem salw rozbiło
trzasnąwszy biczem w przestrzeń lustra.

Rozpadł się zwykły obraz nocy:
powstają luny, biją gromy,
las chyli się starganym kocem,
jak łodzie skrzypią stare damy.

Rozpadł się nagle dawny pejzaż:
gliniany dzban z zatrutym winem —
popod silnym krokiem żołnierza
z jasną gwiazdą i z karabinem.

Stałem w oknie — drżący chłopiec,
chłonąc burzliwy czas w głąb piersi
jak gdybym też walczył w okopie
i nioś swą młodość przeciw śmierci.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

SZKOŁA NA ŚLĄSKU PRZED WOJNĄ

„Wyorane kamienie“*) nazywa Morcinek w przedmowie „powieścią już historyczną, przedstawiającą stosunki przedwojenne na Śląsku w okresie największego nasilenia bezrobocia“. „Poza tym — pisze — uśłowiałem przedstawić trud polskiego nauczyciela na Śląsku, pragnącego „uczłowieczyć“ powierzono mu dzieci, wychowane przez głód, nędzę i ulicę“.

Akcja powieści toczy się na Śląsku Górnym, w bezpośredniej bliskości Stalingrodu, czyli dawnych Katowic, a centralnym problemem książki są stosunki w szkolnictwie śląskim, na krótko przed pamiętnym wrześniem.

Szkoła podstawowa, w której uczy bohater powieści i zarazem miernik myśli autorskiej, Józef Kaleta, nazywa się wprawdzie bardzo szumnie imieniem „Króla Jana III Sobieskiego“, lecz mieści się w ponurym i odbrapanym budynku, nie ma sali gimnastycznej, ani świetlicy, a każda, choćby najdrobniejsza inwestycja uzależniona jest od wątpliwej filantropii miejscowej „śmietanki“ towarzyskiej.

Dzieci są głodne, brudne i zdziżalskie, jak to bywało z dziećmi bezrobotnych, nauczyciele — przeważnie zniechęceni i zrezygnowani w obliczu trudnej i niewdzięcznej pracy nad „uczłowieczeniem“ swych wychowanków, zdemoralizowanych przez nędzę, żebranie, udział w wyprawach przemysłowych itp. Jedyna ścieżka prowadząca do serc tych nieletnich ofiar kapitalizmu — to ścieżka dobroci, wyrozumienia i aktywnego współczucia dla młodych istot, już w zaraniu życia — z winy ustroju — okaleczonych i zwichniętych duchowo.

Ile wysiłku i wytrwałości trzeba włożyć w poszukiwanie tej jedynej ścieżki wychowawczej, przekonał się o tym pisan zapału i najlepszej woli Józef Kaleta, objawiający kierownictwo najwyższej klasy....

Uosobieniem dobrych i niedobrych stron „tych dusz dziecięcych“ jest przywódca klasy, podraśnięty Babilon, syn bezrobotnego i nalógowej pijackiej, chłopiec na swój sposób ambity i z charakterem, lecz naznaczony przekleństwem warunków swego nędznego bytowania. Długa i zmienna jest walka Kalety o „uczłowieczenie“ krnąbrnego, zakrzepłego w swej niedoli chłopięcego — Babilona, a gdy zwycięstwo wychowawcze zdaje się już być bliskie, Babilon ginie od kuli strażnika podczas wyprawy przemysłowej. To dramatyczne wydarzenie nie pozostaje jednak bez wpływu na jego kolegów i koleżanki. Wkraczający raz na dobrą drogę wychowawczą, Kaleta łatwiej już dotrże do serc swych uczniów, pozyska ich zaufanie, zysze się z nimi. Bo poza tym zdaje sobie sprawę z gorzkiej prawdy, że „w dzieciach bezrobotnych rodziców ambicje do wybitności się ponad poziom otoczenia były przez życie zabijane“.

Sprawy i stosunki szkolne, ukazane w sposób śmiały i realistyczny to niewątpliwie najbardziej cenna część powieści, mająca poważne znaczenie historyczne — poznawcze. Obok pierwszoplanowych postaci Kalety i Babilona, autor zarysował żywo szereg sylwetek nauczycieli i dzieci szkolnych. Na przykładzie kierownika Hezki słusznie podkreślając, że w ówczesnych warunkach ustrojowych najczęstszą „nagrodą“ za trud i obowiązkowość nauczyciela była — gruźlica, a za nią śmierć, bądź też w pomyślniejszym wypadku nędzny kawałek emerytalnego chleba. Wartość i waga oskarżeń ielskich relacji Morcinka jest tym większa, że materiał do nich autor czerpał z własnych przeżyć i doświadczeń.

Znacznie mniej dokładnie i wyraziście przedstawia się polityczne i społeczne tło, na którym Morcinek snuje swą opowieść szkolną. Cóż z tego, że stary powstaniec, zacytowany nad podziw ofiarny Gerok rozmaia nieraz ze swymi kumotrami o krzywdzie i uciśku, że w tych pogawrkach padają i takie słowa, jak komunizm i rewolucja? Cóż z tego, że koleżanka Kalety, sympatyczna rezonarka — Jolanta czyta ukradkiem „Kapitał“? Wszystko to są raczej powieściowe marginesy i dygresje, z których nie wynika się dość jasny obraz zaciętych podów-

czas walk klasowych na Śląsku, ani też oblicze tych sił i czynników, które pod sztandarem KPP klasą robotniczą kierowały — wbrew sanacynemu terrorowi, wbrew podstępny machinacjom Grażyńskiego i jego popleczników.

Zasadnicze dla określenia ówczesnych spraw śląskich elementy rozgrywane są w powieści Morcinka w ogólnikach, w niejasnych próśkach, w narzekaniach i ubolewaniach nad losem ciemnionych i prześladowanych.

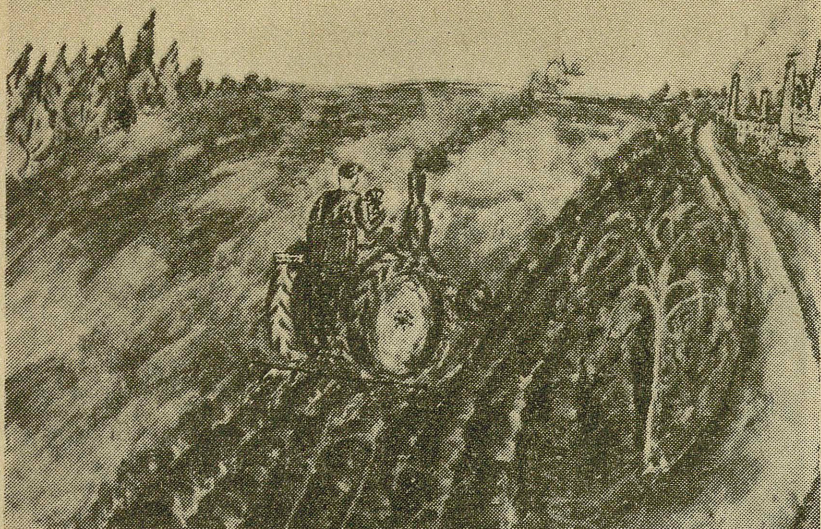
Te niedomogi treściowe mają jednak swe wytłumaczenie. „Wyorane kamienie“ napisał Morcinek w r. 1937, a choć tekst powieści uległ później kilkakrotnym przeróbkom, odcisnęła przecież na nim swoje znamię przedwojenna postawa światopoglądowa autora. Postawa, której istotą niewątpliwie był humanizm, ale humanizm typu raczej uczuciowego, pływający przede wszystkim z nakazów serca i nie oparty na głębszej wiedzy o przyczynach społecznej zła i o skutecznych środkach dla jego usunięcia. Wyrazem takiej postawy jest w „Wyoranych kamieniach“ m.in. stosunek Kalety do ludzi z tamtej strony barykady. Sanacyjny inspektor szkolny jest tu czczeniem bardzo koleżeńskim, uczynnym i przyzwolnym. Książkę poprosz w praktykowaniu cnot ludzkich i obywatelskich — posuwa się tak daleko, że cybuchem fakty tłuże po karkach denuncjatorów i oszczerców. Inżynier Kubisz z dyrekcji kopalnianej organizuje bardzo nielegalne transakcje z materiałami budowlanymi, niezbędnymi kierownictwu szkoły dla wyporządzenia sali gimnastycznej. Czy nie za wielu tych pocziwów w obozie bądź co bądź obcym, jeśli już nie wrogim, ludności robotniczej? Oczywiście, mogły się zdarzać i zdarzały się na pewno — wyjątki z rodzaju tych, o których pisze Morcinek. Ale wyjątki tylko potwierdzają regułę, która każe stwierdzić, że taki książd, inspektor czy inżynier nie byli przez wojnę na Śląsku postaciami typowymi. Tak samo jak nie był nigdy dyrektor Ryto — Zabczyński odmalowany przez Morcinka w barwach całkiem groteskowych i pozbawiony przez to rzeczywistych cech wroga klasowego.

Ograniczenia i zważenie perspektywy politycznej — społecznej w powieści Morcinka nie odbiera jej przecież tych wartości informacyjnych i poznawczych, o których mówiliśmy wyżej. Związka dla młodych czytelników, którzy wiedzą mało lub nie wiedzą nic o ponurej przeszłości czasów sanacyjnych, „Wyorane kamienie“, uoaczającą ogrom różnic, dzielących nasze przedwojenne wczoraj od naszego dziś i s. Wraz z powstaniem i wzrostem Polski Ludowej skończyły się dla Śląska bezpowrotnie czasy nędzy, bieda — sztybów, zamykanych hut i kopalń. Dziś Śląsk jest sercem życia gospodarczego Polski — jak cały kraj — tetni wielką, tworzącą pracę. A jeśli chodzi o dzieci śląskich górników i hutników, o te małe i dawniej bezbronne istoty, których niedole tak wymownie i współczująco pokazał Morcinek w swej powieści, najpiękniejszym chybą symbolem i świadectwem ich do gruntu odmienionych losów jest wspaniały Pałac Młodzieży w Stalingrodzie, zbudowany przez władzę ludową w trosce o byt i przyszłość młodego pokolenia. „Wiara w nowego człowieka w Polsce i wiara w nową sprawiedliwość społeczną“ — o czym pisze autor w przedmowie do „Wyoranych kamieni“ — w naszych oczach ucieleśnia się i realizuje wielkimi czynami i zdarzeniami, wieszczących narodzin nowej epoki — epoki zwycięskiego socjalizmu.

Dla pisarza o tak silnym instynkcie społecznym i tak wielkiej wrażliwości na krzywdę człowieka, jak Gustaw Morcinek, najradośniejszą chyba satysfakcją jest właśnie możliwość stwierdzenia, że iści się w prawdzie życia to, co było przedmiotem jego dawnej — gorącej i optymistycznej — wiary. Podzielamy w pełni tę autorską radość i nie żyjemy żadnym wątpliwością, że coraz głębsze, coraz bogatsze będą jej ożywcze źródła.

Bolesław Dudziński

*) Gustaw Morcinek „Wyorane kamienie“, Powieść — Warszawa „Czytelnik“ 1953, str. 276.



„Wies dziś” obraz malował rolnik — Władysław Dubanik ze wsi Wacławice powiat Przemyski.

FRANCISZEK ŚNIEG

KULTURA ROLNA TO TEŻ KULTURA

Moje szkolne wykształcenie — to 4 klasy szkoły powszechnej (w r. 1933), poza tym — po wojnie — kurs weterynaryjny. Rzecząc wiedzę osiągam: pracą samouczą, na szkoleniu partyjnym, w praktyce działacza. Jestem sekretarzem podstawowej organizacji partyjnej w zespole PGR-Ostrowiec (pow. Sławno). „Wies” nie była dla mnie piśmie łatwym. Pocitem się, aby ją zrozumieć. Ale trudności przewyciężyłem, bo znajdowałem w niej to, co aktywnie działającemu w 18 PGR-ach (tyle liczy zespół Ostrowiec) i w niemiejszej ilości wsi i spółdzielni — jest niezbędne.

Dwa lata temu zapaliłem do „Wsi” przewodniczącego Rolnej Rady Zakładowej, Zygmunta Forca. Na próbę zaprenumerowałem 5 egz. „Wsi”; dla starszego agronoma Edwina Frydberga, dla dyrektora zespołu Szypniewskiego i trzech kierowników gospodarstw. Od roku chętnie czytają to pismo wszyscy kierownicy; znajduje się też ono w świetlicach.

Jak mam teraz ocenić fakty: — że zespół PGR-Ostrowiec wysunął się na pierwsze miejsce w okręgu słujskim i już drugi rok otrzymuje propozycję przechodu; — że we współzawodnictwie o tytuł najlepszego traktorysty w woj. koszalińskim bierze udział z naszego zespołu pięćdziesięciu ludzi, a na wojewódzkiej tablicy honorowej znajduje się na pierwszych miejscach pięciu naszych traktorystów — kiedy z innych zespołów o jednym, dwu i to na dalszych pozycjach;

— że powstanie 68 spółdzielni produkcyjnych w pow. Sławno jest w pewnym stopniu również zasługą pracy agitacyjnej, pomocy i przykroci naszego zespołu PGR-Ostrowiec?

Czy mogę w tych osiągnięciach nie liczyć wpływu „Wsi”? Przeciwnie, wliczam wpływ „Wsi”. Kiedy sam się w nią wczytywałem i kiedy zdecydowałem się ją rozpowszechnić na naszych gospodarstwach, kierowałem mną przekonanie, że pomoże ona naszym kierownikom wyjść z ciasnego praktycyzmu i spojrzeć na zadania szerzej i bardziej ambitnie.

Trzy przykłady, jakie podałem, mówią, że nasze osiągnięcia nie rozwijały się, jak mówi przysłowie: „każdy robi swoje, a całość sama się złoży”. Trzeba było zobaczyć perspektywę współzawodnictwa pomiędzy zespołami w skali wojewódzkiej, aby ją realizować we wnętrzu każdego gospodarstwa. Trzeba było się nią zachwycić, zrozumieć jej socjalistyczny sens i cel.

Czy „Wies” tak często pisała o PGR-ach? Nie! Ale pisała np.:

— o podnoszeniu się rolnictwa w całych rejonach (Rzeszowskie, Olchowskie, Lubelskie, Podhale). Bili z tych artykułów patriotyczna miłość chłopów do ich powiatu i województwa. Widzieliśmy setki pomysłów i sposobów, jak „ziemię niewdzięczną” można uczynić urodzajną;

— pisała o spółdzielniach produkcyjnych pokazując położenie biedniaków i średniaków w różnych stronach kraju, inne zagęszczenie kulałów, różne formy ich wyzysku i walki ze spółdzielnią;

— dawała charakterystyki działaczy gospodarstwach, politycznych i kulturalnych w terenie; — pokazywała przemiany w pojedynczych gromadach i gminach, wskazując na główne ogniwko, które pociągnęło cały łańcuch;

— pokazywała, co może zdziałać czytelnictwo pojedyncze i zbiorowe w rozwoju nowego życia, jaką jest ono bronią i busolą dla działacza.

Myszę, że tematy te zaciekały kierowników naszych gospodarstw. Bo każdy z tych tematów, nie mówiąc o PGR, dawał nam kierunek, wskazówkę i przykład. Razem uczyły one widzieć wiele czynników, koniecznych do rozwijania produkcji i zespołów w naszych gospodarstwach, do pogłębiania wpływu PGR w powiecie.

Czy te artykuły uczyły nas — bezpośrednio i fachowo — gospodarki? Oczywiście, nie. Ja bym powiedział, że ich część — były to artykuły o kulturze rolnej w życiu: produkcyjnych chłopów i działaczy gospodarstwach, gromadach, gminach, powiatach, województwach.

Czy do kultury nie należy kultura rolna? Czy to „poboczna i uzu-

pełniająca tematyka”? Jakim prawem? W Polsce Ludowej — w gospodarce rolnej dokonał się przewrót, jakiego dawniej w przybliżeniu nawet nie doświadczono razem dziesięć pokoleń — w technice, metodach, w wiedzy, organizacji, w stosunkach społecznych. Wszystko to razem dało chłopu nową, olbrzymią wiedzę teoretyczną i praktyczną w rolnictwie. Nastąpiło więc niesłychane dźwignięcie kultury rolnej: w głowach chłopów, w ich stylu pracy, w ich stosunku do dawnego zafacowania. Ta nowa, rosnąca kultura rolna — to fundament dla kultury politycznej i wszelkiej innej aktywności kulturalnej.

Inna część tych artykułów była o metodach walki z wrogiem klasowym i metodach przebudowy takich jednostek, jak gromada, gmina, powiat, co dla działacza jest nauką najważniejszą.

Jeszcze inna część wprost ukazywała, jakim powinien być działacz terenowy, „nie działacz w ogóle”, ale działacz określonego zakresu. I jak powinien on współpracować, bo wszak praca każdego zależy od pracy pozostałych. Tu bym zaliczył wszystkie rady o czytelnictwie rolniczym, powieści i broszur politycznych, a także wszystkie przykłady i dowody, jak pogłębianie wiedzy i kultury podnosiło ideologicznie i praktycznie działacza, jak brak tej pomocy zagroził mu błędami politycznymi i dawał złe wyniki w robocie.

Na koniec pytanie:

Tow. B. Bierut na IX Plenum powiedział, że najważniejszym obecnie zadaniem jest podniesienie wydajności w produkcji rolnej — polowej i hodowlanej. Wszyscy dyskutujemy nad tematami przedłożonymi uchwalonymi na IX Plenum, aby jak najlepiej wypełnić zadanie postawione przed rolnictwem dla podniesienia stopy życiowej najszerszych mas.

Ob. Bartelski proponuje zaś „Wsi”, aby poza zagadnieniami kulturalnymi „inną tematykę traktować, jak coś pobocznego i uzupełniającego”.

Chciałbym się więc dowiedzieć, jak tezy przedłożone ustawić „pobocznie” i „uzupełniająco” i czy to w porządku? Po IX Plenum doszedłem bowiem do wniosku, że dla „Wsi”, przeznaczonej dla działaczy kulturalnych przybyły jeszcze trzy zakresy: kultura rolna, kultura ekonomiczna i polityczna działaczy terenowych.

Franciszek Śnieg

PGR Smardzewo, pow. Sławno

JULIAN RYBCZUK

Pracę gospodarczą splatam w praktyce z kulturalną

Artykuł Lesława Bartelskiego „Czy wieś czyta „Wies””, daje osobistą autora ocenę „Wsi” za cały okres jej istnienia. Jako czytelnik „Wsi” poczuwałem się do obowiązku dodać parę słów do tej oceny. Nie jestem pisarzem, jestem prostym chłopem, przeżyłem już 74 lata na wsi, sieję grykę i kaszę z niej spożywam. Pracuję społecznie od 15 roku życia. Sprawami kulturalnymi i oświatowymi param się i zastanawiam się nad oceną pożądaną, że autor posiada ostry ton słowa i pisma, ale z bliska nie zna dokładnie życia wsi. Bo nie jest to już wieś z lat 48-49, kiedy autor badał ją by napisać powieść „Ludzie zza rzeki”.

Zyczeniem autora jest, aby „Wies” nie podawała artykułów politycznych, ekonomicznych, ani różnych wiadomości z kraju i zagranicą, lecz żeby pisała tylko o sprawach kulturalnych, bo w przeciwnym razie nie znajdzie czytelnika ani miejsca na ziemi.

Nie mogę w swojej starej głowie wyobrazić sobie działacza kulturalnego na wsi, który nie powinien pogłębiać wiedzy politycznej, ekonomicznej i rolniczej. Jakże „Wies” mogłaby aktywizować i organizować aktywność gromadzką i gminną, jakże wzbudzać miłość do socjalizmu i sojuszu robotniczo-chłopskiego, wiedzę i przekonanie do przebudowy ustroju państwa, jakże pobudzać do wstąpienia do partii i miłość do ojczyzny i władzy ludowej?

Jestem w-c przew. GRN w gminie Krzywczu, jestem też przewodniczą-

BOGUSŁAW GAŁĘSKI

DZIAŁACZE KULTURALNI A WIEDZA EKONOMICZNA

ŚLEDZĄC toczącą się na łamach „Wsi” dyskusję, zapoczątkowaną artykułem Bartelskiego w „Nowej Kulturze” postanowiłem i ja zabrać w niej głos — tym bardziej, że z racji paru drukowanych we „Wsi” artykułów czuję się niejako „współwinny”.

Moim zdaniem „Wies” jest piśmie niezbędnym i pożytecznym. Miała ona swoje miejsce w przeszłości, w okresie walki z otwarcie występującym agraryzmem — i ma je również dziś, w okresie walki o podniesienie produkcji i przeobrażenie gospodarki, a wraz z nią — świadomości chłopskiej, o rozszerzenie i pogłębienie dokonywującej się na wsi rewolucji kulturalnej.

Jak każde pismo ma niewątpliwie i „Wies” szereg braków. Wydaje mi się, że warto by pomówić o nich szerzej niż to dotychczas uczyniono w dyskusji: może w jakimś większym kolektywie wraz z korespondentami pisma. Nie wdając się jednak w nazbyt obszerną analizę wad i braków „Wsi”, chcę poczynić parę uwag „pro domo sua” — o ekonomicznej rolnej.

Jak i inni wypowiadający się w dyskusji, odniosłem wrażenie, że Bartelski chciałby zagadnienia ekonomiczno-rolnicze zepchnąć na „szary koniec”, jako nie odpowiadające charakterowi pisma. Co gorsza, występujący przeciwko tej tendencji niektórzy dyskutanci nie zawsze zbyt pewnie bronili konieczności tej problematyki, chociaż sprawa wydaje się słuszną; wszak „Nowa Kultura” również poświęca tym zagadnieniom niemało miejsca. A więc, czy w takim piśmie, jak „Wies”, piśmie — jak czytamy w nagłówku — „społeczno-literackim”, noszącym tak zobowiązującą nazwę i przeznaczonym dla aktywności kulturalno-oświatowej na wsi, powinno się drukować artykuły ekonomiczne, w szczególności ekonomiczno-rolnicze?

Co to, po pierwsze za nauka: ekonomia polityczna i jej odgałęzienie — ekonomia rolnictwa? „Och, wiemy przecież!” — powiecie. Istotnie należy zakładać powszechną znajomość przedmiotu tej wiedzy. A jednak wygląda, jakby wszyscy o niej zapomnieli. Pozwólcie, że przypomnę: „Ekonomia polityczna jest to nauka o rozwoju społeczno-produkcyjnych, to znaczy: ekonomicznych stosun-

ków ludzkich...” itd*). A więc nie chodzi tu o to, że, jak pisze kol. Jelonek: „Społeczeństwo wiejskie na wszystkie zagadnienia patrzy przez pryzmat punktu widzenia: czy się opłaca!” — choć to jest niewątpliwie prawdą; nie chodzi też o to, aby gmina spółdzielnia osiągnęła pewne nadwyżki (choć i to jest ważne) ale o stosunki społeczne, stosunki, w których ludzie produkują. Ekonomia polityczna jest więc nauką społeczną i społeczną również nauką jest ekonomia rolnictwa, która bada rozwój stosunków społeczno-produkcyjnych w rolnictwie. A skoro jest to nauka społeczna, skoro bada ona stosunki społeczne, to czyż nie jest sprawą oczywistą, że w społeczno-literackim piśmie „Wies” drukowane są artykuły ekonomiczno-rolnicze? Należałoby się dziwić, gdyby ich tu nie było!

Bartelski zarzuca co prawda, że „Wies” jest czymś pomiędzy „Zagadnieniami Ekonomiki Rolnej” a „Przekrojem”. Pomijając to, że autorowi chodziło o przejaskrawienie i dlatego ustawił z sobą tak odległe pisma, można by powiedzieć: — prawdą! Jak „Przekrój” zawiera „Wies” niektóre utwory literackie i satyryczne; jak „Zagadnienia” zajmuje się sprawą przemian społecznych na wsi; drukuje czasem artykuły poruszające o problematykę ekonomiczno-rolniczą. Zestawienia takie można by zresztą dalej mnożyć. „Wies” jest również „pomiędzy”, „pomiędzy” „Nową Kulturą” a „Chłopską Droga”, „pomiędzy” „Nowym Rolnikiem” a „Życiem świetlicowym” i tak dalej. Rzecz w tym, że można to powiedzieć o każdym piśmie, bo każde jest „pomiędzy” jakimś innym, bliżej lub dalej, bo ani nie można poruszać tylko wyłącznie „swolch izolowanych spraw”, ani nawet takich „izolowanych spraw” nie ma.

I dobrze, że „Wies” jest „pomiędzy”, że nie porusza np. wyłącznie skądinąd bardzo ważnych spraw bibliotecznych, wtedy bowiem rzeczywistość dublowałaby niepotrzebnie takie pisma instrukcyjne, jak np. „Bibliotekarz” i przestałaby być piśmie społeczno-literackim.

Sprawa druga: — a co to kultura? „No tego już za dużo!” — powiecie czytelnicy. — Znowu wykład? Nie wykład, lecz przypomnienie. W sprawozdaniu na XV Zjeździe WK(b) w 1927 r., mówiąc o leninowskim hasle rewolucji kul-

turalnej Stalin przytoczył zdanie Lenina.

„Rzecz najważniejsza, której nam brak — to kultura, umiejętność rządzenia” i dodał: „Na tym polega sens i znaczenie leninowskiego hasła rewolucji kulturalnej”.

A więc nie można spraw kierowania kulturą wsi ograniczać do propagowania książek, pomocy bibliotekarzom i publikowania materiałów świetlicowych — chociaż są to niezmienne istotne sprawy, ale trzeba również pomóc działaczom w nabywaniu „nawyków i umiejętności rządzenia”.

Działacz kulturalno-oświatowy na wsi musi pomóc chłopu w podnoszeniu jego kultury politycznej, kultury ekonomiczno-rolnej. Aby działacz pomógł chłopu, trzeba pomóc działaczowi. Dlatego ważne są i artykuły polityczne np. podejmujące walkę ze śladami agraryzmu, który wprowadził nie występujące otwarcie, ale bynajmniej przez to nie zniknął z głów, a wyraża się m. in. w niedostępnym na wsi biedoty i form kulackiego wyzysku. Dlatego ważne są artykuły ekonomiczne, oświecające, złożoną przecież i skomplikowaną społeczno-ekonomiczną strukturę wsi, którą działacz kulturalny musi znać — i dlatego ważne są wreszcie sprawy kultury rolnej, ruchu miczurnowskiego, upowszechnienia wiedzy rolniczej. I sprawy te nie powinny zniknąć ze szpalt „Wsi”.

Wreszcie sprawa trzecia. Na co działaczowi kulturalno-oświatowemu potrzebna na wsi znajomość problemów ekonomiczno-rolniczych? Na to, że działacz kulturalno-oświatowy nie żyje na księżycu, nie rozwija jakiegoś „w ogóle ludzkiego umysłu”, jakiegoś „w ogóle człowieka”, stojącego poza historią i ustrojem, ale spełnia określone polityczne zadanie — przeobrażenia świadomości chłopskiej. Podstawą przeobrażenia tej świadomości są procesy ekonomiczne. Wyrazem ich przemian jest w dużym stopniu ekonomiczna działalność chłopu pracującego. Lenin mówił kiedyś, że „żołnierz głosował nogami” za rewolucją i pokojem, schodząc z frontu, na którym trzymał go burżuazyjny rząd Kiereńskiego. Można powiedzieć, że chłop głosuje za państwem ludowym podpisami kontraktami na uprawy przemysłowe, żywiec itp.

Gdyby nasi działacze kulturalni, a nawet pisarze chcieli głębiej się

wczytać w suche na pozór liczby kontraktacji, pracy GOM i POM, dniówek obrachunkowych i inwentaryzacyjnych, pogłowia na działkach przyzgodowych i w spółdzielni — zobaczyliby chłopu pracującego pełniej i prawdziwiej. Zobaczyliby, jak ze wzrostem własności spółdzielczej rosną nawyki pracy kolektywnej, jak zwycięża w chłopie dusza człowieka pracy nad duszą drobnego wytwórcy.

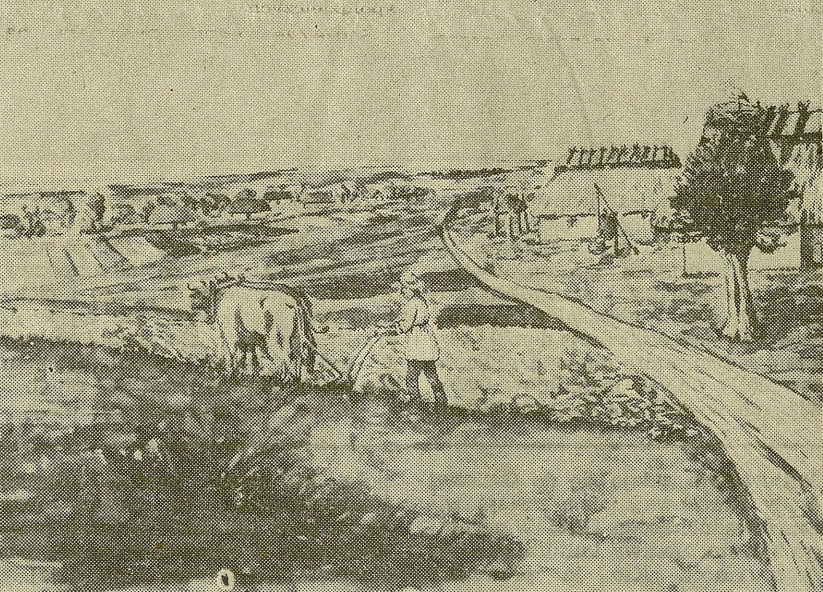
Oczywiście, procesy ekonomiczne nie powodują automatycznej zmiany świadomości, o zmiany te trzeba walczyć, ale tym lepiej walczyć o nią będą działacze kulturalno-oświatowi na wsi, im lepiej będą jej znać i rozumieć. Dlatego artykuły na tematy ekonomiczno-rolne powinny być we „Wsi” publikowane.

Czy jednak „Wies” nie dubluje w ten sposób innych pism? Można by powtórzyć za Empedoklesem: „To, co ma być powiedziane, może być powiedziane dwa razy”. Nie ma tragedii w takim dublowaniu, tym bardziej, że znajomość tych spraw wciąż jest za małą. Rzecz jednak nie w tym, a w ujęciu artykułów, w nacelowaniu ich na potrzeby właśnie działacza kulturalno-oświatowego a nie np. działacza gospodarczego, choć i on może z nich korzystać.

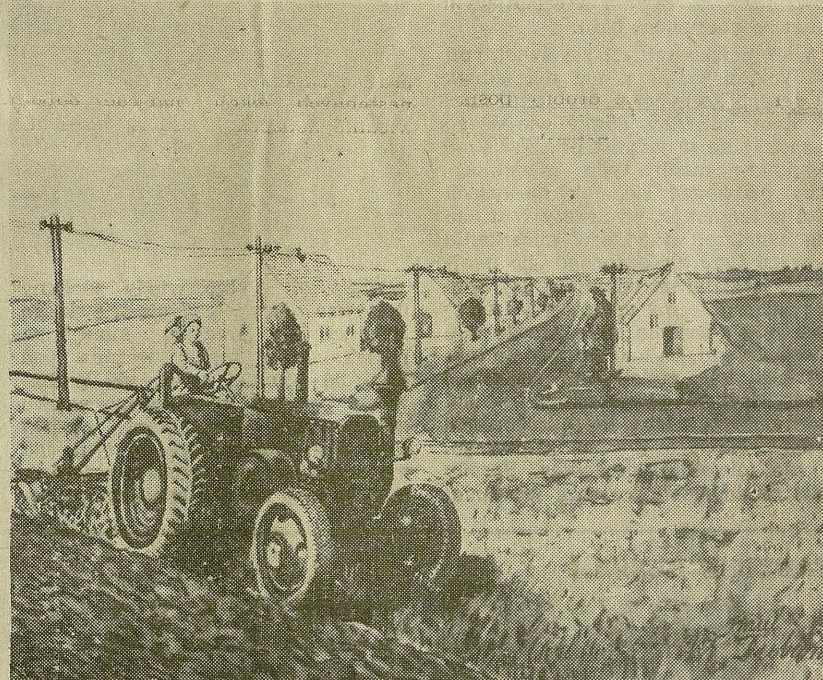
Nie sprawa potrzeby artykułów ekonomiczno-rolniczych we „Wsi”, ale sprawa ich ujęcia wydaje mi się szczególnie wymagającą przedyskutowania. Ogólnosc ale nie ogólnikowość, ukazanie społecznej strony procesów ekonomicznych, wydobycie swoistości procesów ekonomicznych w różnych terenach kraju, odczuwanie aktywu od schematyzmu w metodach, a pokazanie mu żywej sylwetki chłopu pracującego, żywych faktów kulackiego wyzysku, elementów zmian w świadomości chłopskiej — to moim zdaniem zasadnicze kierunki ujęcia.

Pomiędzy zagadnieniami społecznymi a literackimi jest — jak sądzę — miejsce „Wsi”. Tych dwóch nurtów „Wies” nie powinna zgubić; przeciwnie: „ocieranie” się o problemy ekonomiczno-rolnicze powinna zastąpić rzetelną ich popularyzacją wśród aktywności kulturalno-oświatowej.

* Niektóre Wzrosty preporadania politycznej ekonomii — Wsiesiołuszny Komitet, po działaniu wyższej szkoły — Moskwa 1944 r., str. 6.



„Dawna i obecna wieś”. Rysunki Marii Barzyk 17-letniej córki matorolnego chłopu ze wsi Gądky powiat Jasto. Należy ona do ZMP, bierze aktywny udział w pracach świetlicowych, redagowaniu gazetki ściennej, w organizowaniu zespołów artystycznych.



nie Krzywczu rozwinęła się kultura.

Wielu produkcyjnych i aktywnych chłopów a w całości ZSCh przyczyniło się do tak pięknego postępu. O moim udziale powiem nie dlatego, abym się miał chwalić. Na to jestem za stary. Ale pełnię funkcję gospodarza i opiekuna gminy. Miałem obowiązek w tych wszystkich kierunkach działać. Mogłem to robić miarowo albo źle. Ale włożyłem zapal i wiarę w ludzi. Kiedy więc z jednej strony są poważne wyniki a z drugiej uznanie również moich osobistych zasług — dyplom uznania za rozwój czytelnictwa, dyplom za pracę wśród kobiet, dyplom za wzrost hodowli, a wreszcie złota odznaka za czytelnictwo otrzymaną w Warszawie — to ja powiem, że są to wszystkie odznaczenia za szerzenie kultury socjalistycznej w naszej gminie. Te odznaki są moją własnością i tej rzeczy mało i średniorolnych z całej gminy, którzy po kulturę sięgnęli i żyją nią na codzień.

A co to znaczy na codzień? Weźmy od podstaw. Ziemia rzeszowska jest łąka i była uprawiana w kulturze żytnio-ziemniaczanej. A przecież nasza gmina doszła do tego, że stoi na pierwszym miejscu w powiecie, w zakresie kontraktacji takich roślin, jak kukurydza, len, buraki cukrowe, fasola, wyka, peluszką, rzepak, pszenica i koniżyna. Toteż choć mieliśmy w ubiegłym roku kataklizm, oberwanie chmurny, co spowodowało zatopienie pól w czterech wsiach — skup mogliśmy łatwo wypełnić przez zamienniki. I dumni jesteśmy, że w

zakresie dostaw obowiązkowych zastosowaliśmy na całą gminę tylko jeden nakaz karny. Bo — gmina nasza skup w listopadzie już wykonała zajmując drugie miejsce w powiecie, a pow. Przemyski w województwie stoi na pierwszym miejscu, w skali zaś krajowej na 25-tym.

Nas obchodzi, jakie zajmujemy położenie w kraju. Te liczby powtarzamy w każdej wsi. One mówią o rolnictwie naszym, o wypełnianiu obowiązków wobec państwa, a równocześnie mówią o naszej kulturze i patriotyzmie.

O kulturze mówi też kontraktacja roślin, które nas stawiają na równi z okolicami o glebie pszenno-buraczanej. O kulturze mówi konkurs hodowlany kobiet, największy w powiecie.

Ile dla tego postępu popracowało roślin, które nas stawiają na równi z okolicami o glebie pszenno-buraczanej. O kulturze mówi konkurs hodowlany kobiet, największy w powiecie. Ile dla tego postępu popracowało roślin, które nas stawiają na równi z okolicami o glebie pszenno-buraczanej. O kulturze mówi konkurs hodowlany kobiet, największy w powiecie. Ile dla tego postępu popracowało roślin, które nas stawiają na równi z okolicami o glebie pszenno-buraczanej. O kulturze mówi konkurs hodowlany kobiet, największy w powiecie.

powiedzieć, że dochody moje wystarczają na zasobne i kulturalne życie, kiedy przed wojną na takiej gospodarce człowiek by działował i w ciemności tonął jak bydlę. Ale trzeba widzieć komu to zawdzięczamy. Ustrojowi Polski Ludowej, władzy robotniczej, socjalistycznej spójni ekonomicznej miasta ze wsią, sojuszu robotniczo-chłopskiemu.

Do Szczecina na dożynki jechałem wypełniony już wszystkie obowiązki wobec państwa, miałem dlatego czyste sumienie i mogłem śmiało patrzeć w oczy delegatom i Bolesławowi Bierutowi, który nas witął z trybuny.

Moim zdaniem aktywista winien pod każdym względem świecić przykładem, że zaś jest organizatorem, winien posiadać wiedzę w różnych kierunkach.

A właśnie „Wies” w swoich artykułach wskazuje na sposoby rządzenia w terenie, na sposoby rozwijania produkcji rolnej przez działacza nie tylko rolniczych ale właśnie kulturalnych. Dla działaczy terenowych opisy i wskazania jakie podaje „Wies” z różnych zakresów, z różnych stron gminy są bardzo cenne ponieważ pozwalają im zorientować się w całokształcie życia społecznego gminy. Zarzut Bartelskiego, że „Wies” pisze o wszystkim, nie można uważać za zarzut, skoro „Wies” jest pisaną dla nas, produkcyjnych chłopów-aktywistów na wsi,

Julian Rybczuk

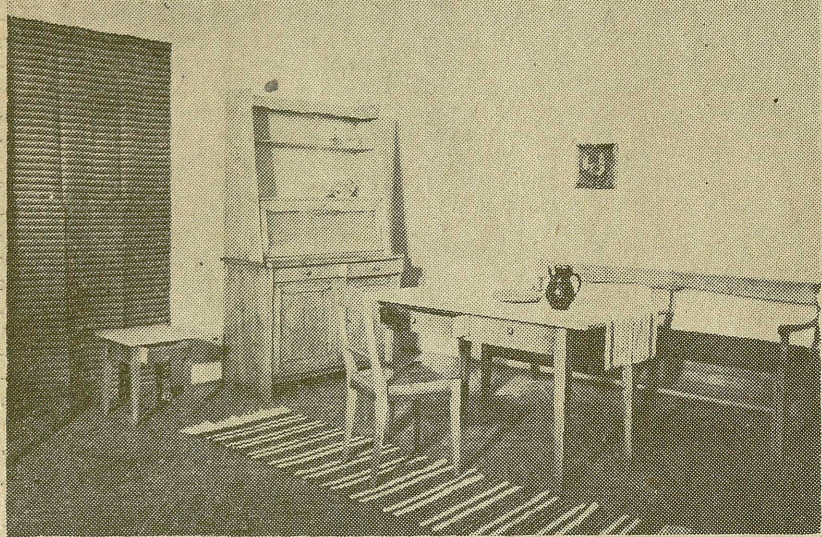
gm. Krzywczu pow. Przemyski

JADWIGA PUTOWSKA

Meble dla wsi

W ciągu kilku ostatnich lat do sklepów meblarskich coraz częściej przybywa ludność wiejska. Nowe sprzęty są niezbędne dla tysięcy izb odbudowanych po zniszczeniach wojennych, dla nowych osiedli spółdzielni produkcyjnych, dla rodzin chłopskich w Polsce, dla rodzin z dawnej ciemnoty i biedy na godny człowieka poziom bytowania.

Potrzeby wsi w dziedzinie sprzętu domowego zaspokajane były od wieków przez rzemiosło chałupnicze.



Część mieszkalna izby wiejskiej zaprojektowana w Instytucie Wzornictwa Przemysłowego

Dzięki ogromnym siłom twórczym naszego ludu rzemiosło to osiągnęło wysoki poziom artystyczny.

Mimo ubóstwa wnętrza dawnej izby wiejskiej było piękne przez rozmątną pożyteczność skromnych sprzętów i ekonomię w konstrukcji i materiale. Nie było ono nigdy przytłoczone meblami. Niezbyt duże sprzęty ustawiano pod ścianami, pozostawiając wolny środek izby. Mimo mocnej konstrukcji dawne sprzęty, ozdobione ażurowymi wyrzeźbionymi deskami — rysowały się lekko na tle bielonej ściany.

Zamieszkanie ludu do zdobnictwa barwnego w wielu regionach wyrażało się wzorzystym malowaniem wnętrz. Ściany bielone (z odcieniem niebieskim) stanowiły odpowiednio tło dla wycinanek i obrazów, rozmieszczonych z cechującym wnętrza poczuciem ład.

Wieś polska szczerzy się świetnymi tradycjami wnętrza, nie ma jednak możliwości kontynuowania ich dziś; bowiem potrzeby domu wiejskiego zaspokajane są jedynie przez seryjną produkcję mebli typu miejskiego. Aby przekonać się, jak niesłuszna jest ta tendencja, wystarczy rzut oka na wnętrza wiejskiego mieszkanka nowego typu, urządzonego „po miejsku”. Niezależnie od mniej czy więcej udanej formy sprzętów — wnętrza robi wrażenie zatłoczonego meblami składu. Są one dla dużej do małej izby, ich „pudełkowe” kształty i duże, lśniąco-powierzchnie — nie harmonizują z izbą, która jest częścią jednorodzinnej domku wiejskiego, a nie miejskiej kamienicy. Sposób ustawienia mebli pogarsza wrażenie:

wysunięte na środek zestawne łóżka, duża szafa, lustrzana toaleta w rogu — nie pozwalają swobodnie poruszać się po pokoju, przesłaniając często jego ładne proporcje, właściwe dobremu tradycjom wiejskiego budownictwa.

W tym składzie mebli bardzo rzadko spotykamy półkę na książki, wygodny mebel wypoczynkowy, lub kącik dla nauki i zabawy dzieci. Objęte, pluszem meble stoją imitując w „gościnnych” izbach, imitując drobnomieszczańskie „salony”.

Przejmowanie przez wieś miejskich form życia, nie zawsze jest

go potrzeby muszą być zrealizowane ze szczególną starannością.

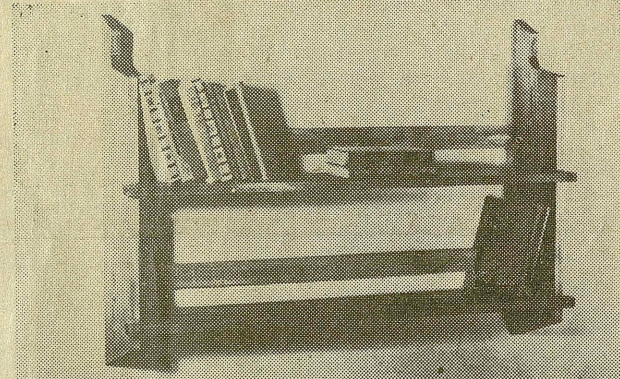
Instytut Wzornictwa Przemysłowego podjął trudną i odpowiedzialną próbę opracowania wzorów mebli dla wsi, zwracając na razie zagadnienie do urzędów wiejskiej izby kuchennej, jako najpotrzebniejszej w wiejskim gospodarstwie, a jednocześnie najbardziej odrębnej od analogicznego pomieszczenia w domu miejskim.

Nie opieraliśmy się na własnych sędach. Długo przypatrywaliśmy się wnętrsom gospodarstw wiejskich, domkom w spółdzielniach produkcyjnych i gospodarstwach indywidualnych — w serdecznych rozmowach z chłopami doszukując się chęci powrotu do dobrych, wygodnych ludowych tradycji wnętrza.

Oczywiście, nie można było pominąć całego szeregu zmian, jakie różni życie dzisiejszej rodziny chłopskiej. Weźmy pod uwagę choćby najprostsze przykłady. Zanikł przecież szereg zajęć domowych, specyficznie wiejskich, jak np. pieczenie chleba. Gospodyni wiejska korzysta na równi z gospodynią miejską ze sklepu spółdzielczego, dostarczającego jej wszelkich produktów żywnościowych.

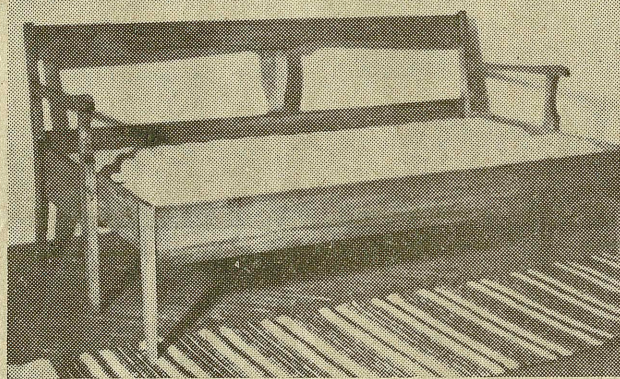
Przemiany te powinny znaleźć odbicie w urządzeniu wiejskiej izby kuchennej. Urządzenie to powinno ułatwić pracę kobiety wiejskiej, by miała ona czas na zajęcia społeczne i rozywki kulturalne: przeczytanie książki, posłuchanie radia. Z drugiej strony życie wiejskie przez rodzaj zajęć zachowuje odrębny od miejskiego charakter. Wyraża się to chociażby w stałym kontakcie mieszkanka z resztą gospodarstwa, zmuszając do innych niż w mieście warunków konserwacji sprzętów. Trzeba liczyć się niestety z brakiem w najbliższym okresie urządzeń wodociągowo-kanalizacyjnych; posługiwanie się studniami, wiadrami, miednicą czy cebrami musi również znaleźć swój wyraz w urządzeniu wiejskiego mieszkania. Zasadą naszą jest więc stworzenie takiego wzoru mebli dla wsi, aby służyły one człowiekowi, aby ułatwiał jego pracę — lecz tworzyły jednocześnie zharmonizowane wnętrza, zachęcające do szukania w nim odpoczynku.

Wzrastające coraz bardziej potrzeby ludności wiejskiej nie mogą być, jak dawniej, zaspokajane przez rzemiosło chałupnicze. Tym bardziej więc masowa produkcja przemysłowa musi zająć się odbiorcą



wiejskiego. Tylko wtedy zdołamy uratować zdrową tradycję wiejskiego wnętrza, gdy „miejską miarę” na projektowanie mebli, weźmie pod kontrolę również wieś, nie pozabawiona przecież wyrobionego smaku estetycznego. Konsument wiejski sam musi zdecydować o tym, jak ma wyglądać jego ognisko rodzinne, miejsce jego pracy i odpoczynku; je-

Troską naszą jest jednocześnie zachowanie odrębności dostosowanej do piękna wiejskiego krajobrazu. W słusznosci naszych założeń potwierdzili nas koledzy — architekci projektujący domki mieszkalne dla spółdzielców: jednorodzinne domki otoczone sadem, które mimo stosowania nowych, trwałych materiałów budowlanych w ogólnym wyrazie bliższe



Zaprojektowaliśmy naszą pierwszą serię w trosce o wygodę i estetykę życia ludzi pracy. Jest to nasz skromny wkład w ogólnonarodowy wysiłek budowania lepszego i piękniejszego życia. Przyjęcie tej serii, życiowa ocena, z jaką spotka się ona na wsi — będzie potwierdzeniem słusznosci obranej przez nas drogi.

Jadwiga Putowska



LEON BUKOWIECKI

O kilku węzłowych trudnościach kin wiejskich

Dlaczego nie wyświetlać dzisiaj zapowiadanego tytułu?

— Bo go nie dostaliśmy.

— Czy interweniować?

— Gdzie mam interweniować..

seans za godzinę.

— Wiecej jaki film będziecie wyświetlać?

— A czy ja wiem?... Codziennie

chodzę na pocztę i albo jest film, albo go nie ma. Jeśli jest, robię

seans — jeśli nie ma nie robię.

— Ale w taki sposób tracicie wi-

dzia. Bo skąd mają wiedzieć o seansie mieszkańcy sąsiednich wsi?

— Właśnie, skąd mają wiedzieć?

Meldowałem o tym sto razy swym

władzom. Wyjaśniali, że nie wy-

konują planów frekwencji. Nie cho-

dziło mi tu o frekwencji liczbowa,

ale o TYCH LUDZI, KTÓRZY PO-

WINNI Z KORZYŚCIĄ FILM

OBEJRZEĆ. Najczęściej dostaje po

3-4 razy ten sam film i wieś na-

raz się wypadał przed wszystkim wy-

świetlać film od końca, teraz już

pinuję się i nie zdarza się to...

— A jaką drogą przychodzi film

na pocztę?

— Z sąsiedniego wiejskiego kina

stałego... Jak mówię, albo przy-

chodzi albo nie, a czasem przyjdzie

na ostatnią chwilę i nie przewidy-

ty. Z początku zdarzało mi się wy-

świetlać film od końca, teraz już

pinuję się i nie zdarza się to...

— Dla wsi trzeba wyświetlać takie

samie filmy, jak i dla miasta, ale

lepiej! Tymczasem z reguły wy-

świetla się je gorzej. Aparaty 16

mm, jak i taśma dźwiękowa 16

mm, nie osiągnęły jeszcze nigdzie

na świecie wysokich wartości tech-

nicznych aparatów i taśmy 35 mm.

Niestety nasze wytwórnie apar-

atów 16 mm, i taśmy 16 mm nie o-

siągnęły jeszcze znormalizowanego

poziomu produkcji.

Aparaty, które muszą być bez-

szmerowe aby były znośne, terkoczą

nietłumionym skutkiem drobnych

wad konstrukcyjnych i braku pre-

zycji w wykonaniu, a taśma 16

mm, pozostawia bardzo wiele do

życzenia. W tych warunkach nawet

przy bardzo uważnej obsłudze (a

są na wsi pełni poświęcenia opera-

torzy) seans jest przeważnie nieudany.

Czyli, że robi się dla wsi „to sa-

mo” — ale gorzej.

Niektórzy operatorzy poprzeczają

film pogadanką. Czasem jest to po-

gadanka na właściwym poziomie,

opierająca się na recenzji z „Try-

buny Ludu” czy też innego pisma.

W innych wypadkach niedostatecz-

nie politycznie przygotowany kie-

rownik kina wygłasza teorie, z któ-

rymi absolutnie zgodzić się nie mo-

żna; robi to w dobrej intencji, ale

falszynie i szkodliwie.

W rezultacie widz (który niewie-

le widział i nic nie słyszał) opusz-

cza wiejskie kino zmęczony i na-

wet dziwi się, że w mieście ten wy-

nalazek zdobył sobie takie uzna-

nie.

Kinematografia jest tą sztuką,

która najbardziej zależy od

techniki. Niedociągnięcia techniczne

taśmy i aparatu położy każdy film,

zniszczą doświadczenie każde ar-

tyście. Jeśli dojdzie do tego nie-

sumiennie kierownika czy opera-

tora, jeśli — a i to się zdarza —

wyświetla się akty filmu nie kolej-

no, albo wieszka się „zgubiony” w

drodze akt z innego filmu — to

już następuje całkowity i wręcz

szkodliwy galimatias.

Wieś — to nasz beniaminek fil-

mu. Wieś otrzymała kino dzięki

powstaniu Polskiej Ludowej. Wieś

potrzebuje kina w większym stop-

niu niż miasto, gdyż jest ona da-

leko bardziej pozbawiona takich

rozrywek kulturalnych, jak teatr,

koncert, a nawet sport. Kino jest

tu najwęższą z sztuk, która

może sobie pozwolić na dotarcie

najgłębiej. Kino daje możliwość go-

spodarzowi spod Rzeszowa urze-

cz „Wielkiego obywatela” czy „Ka-

walera złotej gwiazdy” — najbar-

TADEUSZ HUSSAK

GDY NIE CZYTAJĄ sprzedawcy, prezesi i referenci...

Noworoczny numer „Wsi” przeczytałem podczas podróży przez wieś i miasteczka województwa opolskiego. Pod wpływem wypowiedzi J. Pasławskiego, kier. biblioteki gminnej w Makowie, która wskazywała na doniosłość roli aktywności gminnych jako organizatorów czytelnictwa, pomyślałem, że warto — jeśli mowa o upowszechnieniu czytelnictwa — pokusić się o wyjaśnienie, jaki jest stosunek do książki tych wszystkich, którzy są z „urzędu” odpowiedzialni za jej upowszechnienie, jak rozumieją oni i realizują swoje obowiązki na tym polu? Np. gminne spółdzielnie, gdzie książki sprzedaje się indywidualnemu odbiorcy i gminne rady narodowe, gdzie skupia się kierownictwo nad całością spraw gminy, a więc i nad sprawami kultury.

W dużej osadzie Łącznik powiatu prudnickiego sprzedaje książki prowadzona jest w przestronnym i dobrze utrzymanym sklepie tekstylnym. — Sklep posiada książek na około 15 tysięcy złotych, w tym sporo literatury dziecięcej i młodzieżowej. Kierowniczka, a zarazem odpowiedzialna za sprzedaż książek, Berta Chowaniec, mówi...

— Kiedyś tam przeczytałam jakąś bajkę, ale takich powieściowych książek nie czytam wcale, bo to i czasu mało, i z językiem trudno...

Jej koleżanka prowadząca sprawy planowania w zarządzie Gminnej Spółdzielni (po co panu moje nazwisko?) stwierdza:

— Ja nie czytam żadnych książek, nie czyta też mój ojciec i matka... Na wiadomość zaś o obniżce cen książek dodaje:

— U nas to i po znizonych cenach mało kto kupi, a jeśli trochę książek się rozczyta, to głównie dlatego, że biorę niektóre do biura

i tam przy wpisywaniu różnych kwitów wydaję — z braku reszty — książki...

Dalsza rozmowa miała już bardziej lakoniczny charakter.

Czy ktoś z Gminnej Rady Narodowej interesuje się rozprowadzaniem książek? Nikt. Czy przychodzi czasem ktoś zapytać jak „idzie książka”? Nikt.

Gminna wieś Pruszków w powiecie opolskim — to właściwie małe miasteczko. Sprzedaż książek prowadzona jest w sklepie artykułów potrzeb kulturalnych Młodą i energiczną sprzedawczynię Eucję Kluzę, zastając przy inwentaryzacji książek. Zwerbowała do pomocy kilka koleżanek i koleżków. Pracując w sklepie od niedawna. Sama książek nie czyta, z wyjątkiem tego, co musiała przeczytać na kursie dla sklepowych. Robi zdziwioną minę na pytanie, czy ktoś z Gminnej Rady Narodowej interesował się sprzedażą książek.

W gminie jest biblioteka posiadająca 2.770 tomów (11 punktów bibliotecznych w gromadach). W samym Pruszkowie, liczącym 2.600 mieszkańców, jest 123 czytelników. Ale długo byście szukali wśród tej liczby członków zarządu Gminnej Spółdzielni. Mówi o tym nie tylko bibliotekarka, stwierdza to również wiceprezes Gminnej Spółdzielni Franciszek Odega, który z wyjątkiem koniecznych broszur politycznych właściwie nie może wyliczyć żadnej ostatnio przeczytanej książki.

Ob. Odega rozumie w zasadzie rolę książki, sam z oburzeniem stwierdza, że istnieje w zarządzie Gminnej Spółdzielni biblioteka, z której nikt nie korzysta, że świetlica zamieniona jest na magazyn, ale — jak powiada — z braku czasu nie sam nie zrobił, by ten stan rzeczy zmienił.

Nie poprzestając na tych rozmowach. W przekonaniu, że przecież ktoś w tej gminie kieruje życiem

kulturalnym, udaje się do Gminnej Rady Narodowej, gdzie zastaje wiceprzewodniczącą GRN Wincentę Jaroszą. Sprawy kulturalne — to jego resort. Kto je prowadzi?

— Owszem, jest referent kulturalny, ściślej mówiąc: kulturalno-socjalny. Ma przed sobą stos podań — nie pytam jakich — ale nie wątpię, że są to sprawy socjalne. A co z kulturą? Z tym jest trochę gorzej.

Referent kulturalny nie bardzo rozumie swoje zadania. W sklepie potrzeb kulturalnych nie bywa, więc nie może powiedzieć jak idzie sprzedaż książek. Biblioteki też nie odwiedza, bo właściwie po co, sam nie czyta — bo zajęty pracą zawodową i społeczną — a jak wygląda czytelnictwo w gminie, to „chyba o tym będzie coś wiedziała ta, która książki wypożycza”. O Radzie Czytelnictwa i Książki nie słyszał, i nie wie jakie są jej zadania. Dopiero wspólnie z wiceprzewodniczącą Wincentą Jaroszą coś sobie przypominają, że „był jakiś komitet czy coś podobnego”, ale to było na wiosnę, teraz niczego się w tych sprawach nie robi.

Kto więc właściwie zajmuje się sprawami kultury w Pruszkowie? A no był to niedawna bardzo zdolny kierownik Domu Kultury, dużo robił, ale teraz zabrał go Pow. Zarząd Samopomocy Chłopskiej i właściwie nie się nie robi. O jego odejściu Gminna Rada Narodowa dowiedziała się zresztą po fakcie.

Wreszcie ostatnie pytanie: Co czyta obywatel wiceprzewodniczący? — Czytam sporo — odpowiada Wincenta Jarosza. — Ostatnio przeczytałem „Podległość”, „Spiskowców”, „Szanowa”, „Złoto” Polewoja, „Upadek Paryża” Erenburga.

Ostatnia odpowiedź jest na tyle poprzednich stwierdzeń miłą niespodzianką i jak gdyby zaskoczeniem... Bo jakżeś pogodzić jedno z drugim?

Ale wyjaśnienie przychodzi samo od razu. Ob. Jarosza, w odróżnieniu od poprzednich, czyta, ale czyta dla siebie. Natomiast jako członek prezydium Gminnej Rady Narodowej nie wie, że i jego kolegom książka pomogłaby w życiu i w pracy, gdyby czytali. Niestety, w jego dział-

ności, być może bardzo ofiarnej i wypełniającej na pewno cały dzień, brak jest jakiegokolwiek prze-myślanego i skoordynowanego po-ciągnięcia w dziedzinie kulturalnej.

Nic więc dziwnego, że i referent kulturalny nie wie, na czym polega-pra jego obowiązki. Bo skąd ma wie-dzieć? Kto ma go pouczyć?

Jakie wnioski nawiązują się po takich spostrzeżeniach? Po pierwsze: że jeszcze bywa z czytelnictwem wśród ludzi odpowiedzialnych za sprawy kultury na wsi. Żle, bo albo sami nie czytają, albo — jeśli nawet czytają — sprawy upowszechnienia kultury i czytelnictwa nie uważają ani za służbowe, ani za partyjny obowiązek. Nie rozumieją, że książka może stać się sojusznikiem w rozwiązywaniu wielu spraw ich terenu, że powinna stać się nieodłącznym towarzyszem ich pracy. Nie badają co poprzez książkę zmieniło się w gromadach ich gminy i nie umieją połączyć praktycznie spraw gospodarczych ze sprawami kultury.

Po drugie: ludzie na stanowiskach, decydujący o rozwoju kultury na wsi, są pozostawieni sami sobie. Nie wskazuje się im, jaki konkretnie mają wypełniać swe obowiązki. Kiedy pomyśle, jaki wysiłek wkłada państwo w sprawę upowszechnienia kultury, ile odbywa się różnych porad na szczeblach centralnym, wojewódzkim, czy powiatowym, to — mając świeżo w pamięci wrażenia z najbliższego szczebla, gdzie gminny działacz styka się bezpośrednio z czytelnikiem wiejskim — uważam, że czas pomyśleć o innym stylu pracy kulturalnej w terenie.

By wieś czytała, muszą czytać ci, którzy kierują jej życiem. Muszą też umieć zjednać innych dla książki. I to powinno stać się sprawą działaczy wojewódzkich i powiatowych rad narodowych, rad czytelnictwa i książki, którzy pracując na odcinku wiejskim, dotąd nie zauważali prostej prawdy: że droga do rozczytania mieszkańców wsi prowadzi m. in. poprzez wiejskich działaczy, poprzez konkretną opiekę nad pracą gminnych rad narodowych na odcinku kulturalnym.

Tadeusz Hussak

Leon Bukowiecki

W. WOROSZYŃSKI

DANUTA CHYBOWA

W podgórskiej gminie

Gmina Czudec składa się z 9 gromad; wszystkie mają charakter podgórskich osiedli. Z gleb na stokach i grzbiętach przebiega gmina, powstała z rozkładu skał wapiennych, w dolinie Wisłoka — namulę, miejscami zdegradowane czarnoziemy. Najmniejszą urodzajną ziemię znajdują się na tak zwanych działach (grzbiętach podgórz).

Nienależąca agrotechnika jest główną przyczyną małej wydajności tych gruntów. W czasie ostrej zimy, gdy mroźne wiatry zwiędzają zagonów, na stokach zboże wymarza, albo jest rzadkie; wówczas rosną chwasty i zanęcają pola. Jeżeli rok mokry, zboża w bruzdach żółkną i marnieją; jeżeli panuje susza — rośliny są wątłe, cienkie, na zagonach zboże nierówno wschodzi i nierówno dojrzewa: na południowym stoku lub południowo-zachodnim przędź, na północnym lub północno-wschodnim później. Brudzy zagonów nie zawsze idą w kierunku poziomu; dlatego brudzy te nie osuszają pola.

Przez odpowiedni dobór roślin, które dadzą zwartą okrywę, można w wielkim stopniu zapobiec erozji gleb. Na wiosnę należy zwrócić uwagę na umiejętność właściwego kierowania spływem wód z topniejących śniegów.

Celem poprawnej uprawy, granice pól powinny przebiegać w poprzek spadku; kierunek upraw, a w szczególności orki i siewy — powinien być zbliżony do kierunku poziomego.

W doborze roślin zastępczych należałoby zwrócić uwagę na kukurydzę uprawianą na ziarno w tych okolicach, gdzie są odpowiednie warunki klimatyczne. Do roślin, które mogą zastąpić w wyżywieniu zboża chlebowe, należy zaliczyć proso, czumizę i hrębkę. Rośliny te nie są na naszym terenie uprawiane na większą skalę, nabierają zaś znaczenia w latach, w których nie-pogoda nie pozwala na wykonanie normalnych zasiewów, lub trzeba obciąć ponownie przepaść oziminy. Zwłaszcza uprawa czumizy ma na naszym terenie wielką przyszłość. Jej wydajność w ZSRR dochodzi do 80 kwintali z ha. Próby z hodowlą czumizy, dokonane na polu doświadczeniowym w Kółku Mieczysławskim w Czudcu, potwierdziły w zupełności teoretyczne założenia. W zielonym stanie czumiza może być użyta, jako doskonała pasza dla bydła.

W naszej gminie 73 proc. powierzchni zajmują grunty uprawne, 7 proc. łąki, 9 proc. sady. Przeważająca wydajność pszenicy z ha wynosi 13 kwintali, ziemniaków od 100 do 120 kwintali, buraków pastewnych 130 kwintali, na 2 ha wypada 1 krowa, na 13 ha 1 koń. Obciążenia wykazują, że gdyby tylko podnieść plon z ha o jeden kwintal, w r. 1954 będziemy mieli o 100 przeszło ton pszenicy więcej, a jeszcze więcej ziemniaków i buraków. Ponieważ ponad 60 proc. ziemi narażone jest na erozję, postanowiono rozłożyć na tych terenach użytki rolne w ten sposób, by pola bez okrywy roślinnej w okresie spływu wód wiosennych przypadały na przemian z polami porośniętymi, tak aby gleba zmywana z pierwszych osadała się na drugich. Wody wiosenne niosą ogromne ilości zawieszin; są też bogato wyposażone w składniki pokarmowe; dlatego nie wolno dopuścić, by spływały do rzek; powinny one być zatrzymane na terenach łąk źródłanych. Trzeba też użyć odpowiednią ilość nawozów sztucznych.

Należałoby zbudować u poszczególnych rolników gnojownie i silosy. Na terenie gminy winien się stale znajdować instruktor rolny. Zbudowanie fabryki marmelady przyczyniłoby się w znacznym stopniu do podniesienia sadownictwa.

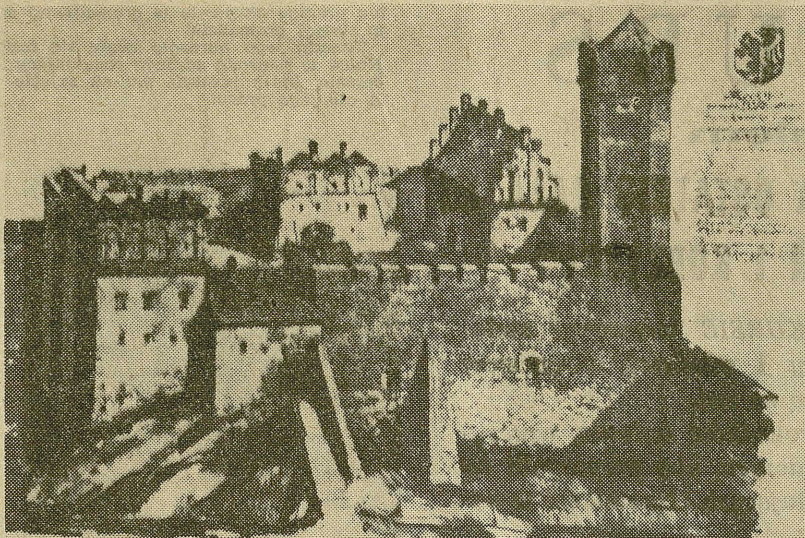
Zbudowanie roszarni przyczyniłoby się do zwiększenia plantacji roślin włókniściwych. Istniejące cegielnie i gipsownie można by bardziej rozbudować ze względu na wielką ilość wapieni i margli, z których wypala się znakomite wapno i gips. Piękne stoki wzgórz można by osadzić mrozoodpornymi drzewami owocowymi, a nawet założyć małe winnice, (podobne do istniejących już przy szkole ogólnokształcącej w Czudcu).

Podniesienie rolnictwa nawet na tak małym terenie jest ważną sprawą.

Najbardziej czynne Koło Biologów-Mieczysławców w Czudcu dla uczczenia II Zjazdu otworło w dniu 17 grudnia gabinet — pracownię agrobiologiczną bogato wyposażoną we wszystkie nasiona zbożowe, ogrodnictwa, preparaty chemiczne, mikroskopy. Koło zobowiązało się zarybić 2 ha zarośniętego stawu i zasiać na wiosnę w celach doświadczalnych 1 ha czumizy. Grono naukowców zobowiązało się urządzić 20 pogadek z dziedzin agrobiologii oraz założyć 5 kółek mierzwińskich, dając im bezpłatnie materiał siewny. W gminie i gromadach postanowiono zwiększyć wydajność siana przez odpowiednie nawożenie kompostem i nawozami sztucznymi.

Władysław Woroszyński

ZABYTKI TEŻ UCZĄ



Rekonstrukcja zamku łęczyckiego z XVIII wieku — siedziba Muzeum Ziemi Łęczyckiej.

Wpólnie z wycieczką chłopską, wiedziliśmy stary zamek łęczycki, zbudowany w okresie panowania Kazimierza Wielkiego. Mieści się w nim obecnie Muzeum Regionalne Ziemi Łęczyckiej skupiające eksponaty z różnych dziedzin życia regionu. Pierwsza z sal wypełniona jest bogatymi zabytkami archeologicznymi okręgu łęczyckiego. Po zwiedzeniu jej przechodzimy do sali, budzącej w moich współtowarzyszach specjalne zainteresowanie: obrazuje ona dzieje Tumu Łęczyckiego — najpiękniejszego w Polsce zabytku architektury romańskiej. Najstarsze, nie uszkodzone jego części, dzięki kredytowi ze strony państwa, są rekonstruowane i wkrótce już będą ostatecznie wykończone.

Trzecia sala poświęcona jest rozwojowi Łęczyca. Liczne tablice i plany pozwalają zwiedzającym poznać przyczyny rozkwitu i późniejszego upadku tego prastarego miasta. W ostatniej sali poznajemy wieś łęczycką i warunki życia jej mieszkańców w okresie feudalizmu i kapitalizmu. Wyjątek ze starego dokumentu mówi o zarobku pańszczyźnianego chłopca folwarcznego. Czytamy w nim: „6 rubli zapłaty, z tego 5 rubli kary, wypłata wynosi zatem 1 rubel”. Słowa te czynią głębokie wrażenie: Ten jeden jedyny rubel — to przecież głód i niedziela chłopskiej chaty. Jakże potwornym kontrastem są zgromadzone obok kosztowne, sprowadzane z zagranicy meble dworskie i cenne obrazy, zdobiące ściany dworu. Ostatnia plansza i fotografie obrazują obecny stan wsi łęczyckiej — jej zdobycze we wszystkich dziedzinach życia.

Najczestszymi gośćmi łęczyckiego muzeum są wycieczki młodzieży ze szkół wiejskich. Młodzież uczy się tu historii swojego regionu, poznaje jego piękno i kulturę.

Ale nie tylko dzieci przychodzą do muzeum w zorganizowanych

grupach. W jednej z wycieczek była grupa pracowników PGR Leszno. Po zwiedzeniu muzeum, zainteresowani odbudową Łęczyckiego Tumu pojechali na miejsce wraz z kierowniczką muzeum, przeprowadzając tam ciekawą dyskusję.

Kontakt z okolicznymi rolnikami utrzymuje muzeum przede wszystkim poprzez nauczycieli wiejskich. Starają się oni wzbudzić zainteresowanie zbiorami zachęcając młodzież i rodziców do ich obejrzenia.

Wycieczek nadal jest jeszcze za mało. Znaczenie lepiej przedstawia się frekwencja indywidualna. Przesłuchaniem indywidualnym interesuje się wielu chłopów. Niektórzy przychodzą do muzeum po odpowiednie książki. Czasem przynoszą też eksponaty i pomagają w ich zbieraniu. Daram chłopów są m. in. stare prymitywne żarna, znajdujące się na wystawie. Przykładem zrozumienia roli muzeum jest piękny czyn rolnika z Oraczewa, który podarował muzeum kompletny strój regionalny.

Podobnym „zaplecem” chłopskiego aktywności jest muzeum sieradzkie. Pierwsze jego piętro zajmuje interesująca wystawa sieradzkiego taktwa ludowego, na którą złożyły się prace tkaczek — zajętych przyjaciółek muzeum. Nawiazanie serdecznej współpracy daje korzyści obu stronom: muzeum wiąże się z żywymi kolekcjami twórców ludowych, rejestrując rozwój regionalnej sztuki; artystki zaś mogą, zapoznać z nią całe społeczeństwo.

Niedawno muzeum zorganizowało pokazy tkania z udziałem najbar dziej czynnych twórczyń — Majewskiej, Chaładejowej i Pawlakowej. Zwiedzający wystawę mogli zapoznać się dokładnie z procesem produkcji tkanin i artystycznym ich zdobieniem. Wspomnieć trzeba o kursie tkackim zorganizowanym przy współudziale muzeum w Mo-

JAN BOLESŁAW OŻÓG

Z poezją i muzyką

DELEGOWANY przez Krakowski Związek Literatów, pojechałem w Nowosądeckie na spotkanie z czytelnikami. W Nowosądeckim, miejscu spotkania ze spółdzielcami i pracownikami tartaku młodzież zaprowadziła autorów do Państwowego Technikum Rolniczego. Przyjęto nas tam oznakami niekłamanej radości.

— Co czytać najpierw: wiersze, czy opowiadania? — pytam.

Chłopcy i dziewczęta, przyszli agronomowie i spółdzielniacy produkcji i POM-ach odpowiadają chórem:

— Prosimy o wiersze.

Czytałem więc utwory liryczne z tomiku „Jęz wielki wóz” i zbiorku „Światła planów”, potem opowiadanie o LZS. Nastąpiła rzeczowa i żywa dyskusja.

Młodzież wiejska lubi poezję. Pragnie wiedzieć, w jaki sposób autor tworzy, skąd pochodzi, jakie jest jego życie. Chcąc wiedzieć, czy autorzy piszący wiersze o spółdzielczości, znają wieś.

Dziewczynki zdradzają się ze swą tajemnicą: mają koleżankę, Zosię, która próbuje pisać wiersze. Wersyfikacja jeszcze słać, ale dziewczęta zdradza talent. Dobry instytut podsuwa jej kontrastowe obrazy: rozkwitłe drzewa w wiosennych sadach a w domu żal i płacz. Jak wy „Janku Muzykancie”.

Przyszła poetka zajęła się władze Polski Ludowej, dając jej możliwość — podobnie jak tysiącom innych dzieci chłopskich — kształcenia się bez troski o chleb.

*

Historia z Jankiem Muzykantem jeszcze raz mi się przypomniała, gdy jechałem do Złoczego na drugie spotkanie z czytelnikami. Razem z nami na imprezę spieszył zespół orkiestralny: kwartet smyczkowy i dwóch akordeonistów. Byli to uczniowie z Państwowej Szkoły Muzycznej w Nowym Sączu. Wszyscy chłopcy ze wsi. Kończąc szkołę, wkrótce opuszczają ją jako absolwenci.

Rozmawiałem z Władysławem Brzeziem, utalentowanym skrzypkiem. Dojeżdża codziennie do szkoły z Szalowej koleją. Dwie godziny

który rządzi się sam. I dobrze się rządzi.

*

Po przemówieniu min. Mołotowa w dniu 25.1.1954 r. Dulles odwołał swoją mowę twierdząc, że musi się przepaść, by potem móc zaraz „zająć stanowisko” wobec wypowiedzi radzieckiego ministra spraw zagranicznych.

Sen jest, rzecz jasna, potrzebą bardzo poważną. Czy jednak daje argumenty polityczne?

W sprawie Chin, tak jak swego czasu w sprawie rewolucji rosyjskiej, polityka USA opierała się istotnie na sennych marzeniach. Na konferencji berlińskiej chodzi jednak o to, by z najbliższej sfery sennych marzeń, których nierzalność nierzaz już historia wskazywała ostatnio na Korei, przejść na płaszczyznę realnych faktów i realnych poczyną do dobra pokój.

Kazimierz Dębnicki

Z lat, które nie wrócą

W bieżącym roku Polska Ludowa obchodzić będzie pierwsze 10-lecie. Cały nasz naród przeprowadzi dumny i bogaty bilans wyników swej pracy w ludowym państwie. Bilans ten jednak nie byłby pełny, gdyby ograniczał się tylko do lat powojennych. Znaczenie i ogrom tego, czego dokonaliśmy w ciągu tych kilkunastu lat — lat równych stuleciu — da się ogarnąć dopiero w zestawieniu z okresem poprzednim, choć niedawnej przeszłości. Materiał autentyczny, faktów, dostarczą nam oficjalne wypowiedzi zamieszczone w latach rządów burżuazji i obszarnictwa na łamach prasy i wydawnictw. Nie będziemy ich komentować.

Dziś z perspektywą państwa budującego socjalizm, z innej epoki, ogrom nędzy i cierpienia ludu uderza swą bezprzykładną wprost niewiarygodnością. Dlatego komentarz pozostawiamy czytelnikom. Wy to lepiej zrobicie od nas. A jeśli któryś fragment dopieczy do zwycięgo, przypomni tamte okrutne czasy, napiszcie do nas. Niech Wasze wspomnienia uzupełnią jakże przecież niepełny materiał dopuszczany przez sanacyjną cenzurę na łamy oficjalnych publikacji. Niech walka ludu polskiego o lepszą przyszłość, o socjalizm, niech osiągnięcia 10-lecia lat Polski Ludowej zająsniają tym pełniejszym blaskiem.

BEZ SOLI, NAFTY I MYDŁA...

„Rok 1933 był urodzajny, plony były obfite, niestety, ludność zmuszona była na jesieni wyżyć się zboża za bezcen z powodu obciążenia różnymi wydatkami i długami, nie mówiąc już o egzekturach i komornikach. Wiele rodzin odbywa się bez soli, nafty i mydła, zapalki lupie się na cztery części, wielu gospodarzy łamie sobie głowę, czym obsiać na wiosnę rolę, a jeszcze gorsze, jak dożyć do nowego, bo nikt nie ma gotówki, a bogacze nie kredytują jak dawniej. O poprawie nie można mówić, bo nikt nie kupuje nawozów sztucznych, nikt nie czyni wkładów, ulepszeń, budynki niszczeją, nawet płotu nie ma za co poprawić, nikt nie kupi maszyn, młoczek, sieczkarni, nawet na nową kosę nie stać rolnika, a o kupnie ubrania, obuwia nie ma mowy, lata na łacie, buty od święta i niedzieli. Ruina w całej pełni”. (Tygodnik Stronnictwa Ludowego „Pisak”, z dnia 24 kwietnia 1934 r.).

ZUBOŻENIE CZYNI NIEPRAWDOPODOBNE POSTĘPY

„Zubożenie wsi czyni nieprawdopodobne postępy. Ludność chodzi coraz gorzej odziana, gdyż nie ma dochodów, nie kupuje odzieży. Nafta, węgiel — wychodzą z użycia. Cukier, herbata — pozostają tylko we wspomnieniach. W początkach września 1934 r. już po godzin 8 wieczorem na terenie jakichś 600 km kwadrat, nie widać ani jednego światła... Sekwestrowanie i komornicy stają krążyć po wsiach”. (Dziennik endecki „ABC”, nr 263, z dnia 23 września 1934 r.).

3 GROSZE DZIENNE NA OSOBE

„Siedem kilometrów od powiatowego miasta Jaworowa leży niewielka wieś Olszanica. Zbiorowisko nędznych, nisko pochylonych chałup.

Ktoś, przejeżdżając, zwiędził jedną z owych chałup olszańskich.

Mieszkała w niej siedem osób. Czterdziestoletni chłop wydaje na dzienne wyżywienie dla siebie, żony i pięciu dzieci — dwadzieścia groszy!

— Jakże to? — pyta zdumiony i nie wierzący przybysz.

— Ano, kupilem dziś kilo krup za 20 groszy, zgłotałem my to i zjedł.

— I nie więcej?

— Nic. Tylko woda. Ziemniaków nie ma już dawno. Mleko, jakie się ma, trzeba nosić do mleczarni, żeby za nie dostać właśnie tych krup.

20 groszy dziennie na wyżywienie siedmiu osób. Przypada więc trzy grosze na osobę”. (Sanacyjny „Express Poranny” z dnia 8 lipca 1935 r.).

CUKIER — LUKSUSEM

W miesięczniku „Plon” (numer 11 z r. 1936) inż. J. Curzytek zajmuje się strukturą dochodów i wydatków 10-hektarowego gospodarstwa, położonego w jednym z kresowych powiatów ówczesnej Polski Z jego badań wynika, że właściciel owego gospodarstwa zdążył sobie kupić przez cały rok 17 sztuk śledzi za 1 zł 25 gr, 49 kg szarej soli — za 10 zł 87 gr, 14 pudełek zapalek — za 1,40 zł, 15 litrów nafty za 6 zł 03 gr...

Warto powtórzyć: pięć osób (gospodarz, gospodyni i trójce nieletnich dzieci) spożyło w ciągu całego roku — dwa i pół kilograma cukru!!!

Na lekarstwa wydano w ciągu roku 3,40 zł, na środki do prania 1,95 zł, na grzebień, sztylka, dewocjonalia itp. 5,42 zł, a wreszcie na siodłyce dla trojga dzieci — aż... trzy złote 97 groszy!!!

„A jednocześnie — czytamy w zakończeniu artykułu inż. Curzytki — ten sam ubogi gospodarz, oszczędzający na cukrze i naftie, nie używający białej soli, odmawiający sobie kupna wielu niezbędnych rzeczy, by móc dać trojgu dzieciom 1 (jedną) grosz dziennie na siodłyce — musiał zapłacić tytułem składek na LOPP, Kółko Rolnicze itp. — 5 złotych, na inne ofiary i składki przysądzone wydać 3,95 zł, a za kształcenie dzieci i pomoce naukowe dla nich zapłacił w ciągu roku 20 zł 45 gr”.

Wybrak Archiwista

Chiny Ludowe — to rzeczywistość

(Dokończenie ze str. 2)

dyskusji z Chinami Ludowymi... Opór trzech (chodzi o mocarstwa zachodnie — K. D.) przeciwko konferencji pięciu jest tym bardziej dziwny, że w istocie rzeczy konferencja ta powinna już dawno być zwołana”.

Szerog podobnych wypowiedzi prasy krajów burżuazyjnych, polityków i działaczy gospodarczych także w USA (Hoover), szereg posunięć Anglii, Francji, a ostatnio i amerykańskich, rozszerzających listę „dozwolonych” dla eksportu na Wschód towarów — dowodzą, że sprawa regulacji stosunków z Chinami Ludowymi, ważny czynnik pokoju na świecie, dojrzała.

Na bojkotcie „tonomicznym naszego obozu, na blokadach, na nieuznawaniu Chin Ludowych — nie myśmy przegrali. Bolesną naukę dostała gospodarka kapitalistyczna. Minister Mołotow nader jasno wykazał to w

swym oświadczeniu w dn. 25 stycznia br. w Berlinie.

Należy sądzić, że praktycy burżuazji nie zechcą powtarzać z beznadziejnym uporem lekcji, jaką już raz w trzydziestolecie dała im historia.

Taka powtórka bowiem prowadzi na szlaki wojny, na szlaki Adenauera, na przegrane szlaki. Czy przegrane, tego uczy dzieje ostatnich dwóch wojen imperialistycznych.

Narody nie życzą sobie krwawych doświadczeń historycznych. Narody widzą dobrze, że budując pokój i szczęście, współzawodnicząc w tym budownictwie pokojowym oboz socjalizmu, oboz niezwykłej siły organicznej, na pewno wykaże swą ustrojową wyższość.

Dlatego narody, a wśród nich i naród polski, pragną zaizolować politykę zromielist doniosłość faktu istnienia 500-milionowego narodu w wielkim Chińskim Kraju, narodu,

CZESŁAW SCHABOWSKI

Tu mówi Łaznów

(MONOLOG)

Halo, halo, wojewódzko „Artos”? Tu mówi Wola Łaznów! W jakiej sprawie? Ano w sprawie waszego zażalenia. Co, to nie resort szanownej obywatelki? Nie szkodzi, poczekam... (chwilę oczekiwania) Halo? No tak Wola Łaznowska! Nie jestem kierownikiem świetlicy. Dlaczego nie? No nie ma kierownika, nigdy nie było, to po jaką... ma być? Tak, w sprawie zażalenia. Powiadacie, że było wam przykro? Cemuż to? My zrywaliśmy boki ze śmiechu. Wicie, przyjeżdża taka pani, artystka, wchodzi z jasionem do świetlicy, siada na krześle i magle rym! prozę was! Co, powiadacie, że skandal? Kochani, mogła być zapytała, które krzesła stoją dla pucu. Sami przyznacie. Co? I o stół macie pretensję? No wicie, a ktoś to widział siadać na stole? Na stole się u nas jada... Właśnie przy jedzeniu się zawałił? Ale przyznacie sami, że przy jedzeniu suchym. Spirytyus tam nie było, inaczey byłby coś o tym wiedział... No widcie zgadliście... Co? Zimno? Też pretensje! Ja zimny nie wymyśliłem, to jest, można powiedzieć dorocznym zrywacz, że zima nadchodzi. Jak się nasza demokracja nie podobą, można obywatelu, do ciepłych krajów... Proszę się nie wydzierać! To nie jest stosunek do człowieka. Zresztą przez dwie doby przed waszym przyjazdem paliliśmy we wszystkich siedmiu piecach... Okna, powiadacie oszklili? Wy mnie oczy szklili! Deski proszę obywatela oderwanego od życia, deski, to jest jedyny materiał na szyby. Szkło byle chłupak wybił, albo stary Polak, kiedy mu się zrywające pomysł i zamiast butelkę za piec — rzucił w okno... Czego się czeplacie? O światło wam chodzi? Nie chwytaicie naszego kolorytu, specyfiki terenu obywateli! No u nas zawsze w Rokicnach światło gaśnie, kiedy przychodzi do zabawy... Co? W inne dni absolutnie nie, tylko w czasie zabawy... Nie wytrzymam, co znowu wymyśliście? Powróćcie! (chwilę ciszy). Wróble wam przeskakały? Przecież to też stworzenie. Mieliśmy z proc powystrzelać, czy jak? Ze po świetlicy latały? Powiedź im pan, że kultura nie dla nich. Co? Jak?... Gęsi? Ach, zupełnie jesteście bez humoru, a niby to taki „Artos” z was. Nam się gęsi cholernie spodobały. Kontakt sceny z widownią to pies? Wyobraź sobie, obywatel, taką rzecz: wasza artystka deklamowała akurat jakiś kawałek, na sali jak mkiem zasiał. Widać ludziom nudno. A tu nagle — ge-ge-ge. Kochany, co to był za numer! Sam „Artos” czegoś podobnego by nie wymyślił; co potrafił gęsi starego Łubniaka... Co, płakać się wam chce? No to płaczcie, postucham (chwilę ciszy). No, tylko proszę się nie wydzierać! Coście powiedzieli? Ze były słuchty z biletem? To jest obraz! Wnoszę natychmiast na was zażalenie.

Wśród korespondencji

BŁOGOSTAN REFERENTA KO W SOKOŁOWSKU

Pisze do nas z sanatorium w Sokolowsku — gdzie leczy się również skierowani przez ZSCh chłop — ob. A. Kowalczyk. Skarży się na bezzwrotność w pracy kulturalnej. Płecze nad sprawami kulturalnymi w Sokolowsku referent KO. Nie widząc tam jednak nigdzie znaków działalności. Nikt w Sokolowsku nie urządza odczytów. Nikt nie przejawia troski o zapewnienie leżącym się w sanatorium ludziom rozrywki kulturalnej. To samo sanatorium posiada bibliotekę. Chory często do niej zagląda, ale bardzo rzadko zapożycza się w interesujące ich książki. W księgozbiore bibliotecznym nie ma bowiem nawet takich pozycji, jak „Pamięć z Gelozji” Neveriego i „Wzręsy” Putramenta. Pracując na terenie Sokolowskiego radia, wczorajszego dnia po dniu słuchają jego programu, nie ma w nim jednak ani słowa o tym, co ich najbardziej interesuje. Ob. Kowalczyk dostrzega w pracy placówek kulturalnych Sokolowskiego radia błogostan. Kierujący nimi ludzie nie przejawiają żadnej inicjatywy, mają życzeń kuracjuszy i nie interesują się nimi. Ob. Kowalczyk, proponuje, by do organizacji pracy kulturalno-oświatowej w sanatorium w Sokolowsku powołano kolegium spośród adwizujących zdrowie chorych. Powinno ono mieć ważki głos w organizowaniu imprez, w opracowywaniu programów radiowych, w zapożyczaniu w nowości wydawnicze księgozbioru w sanatorium. Nie wolno tych słusznych wniosków pominąć milczeniem. Nie wolno też tolerować rażącego nierobstwa w pracy referatu kulturalno-oświatowego w Sokolowsku.

WIEŚ ORGANIZUJE SPÓŁDZIELNIE RZEMIEŚLNICZE

Na zebraniu aktywu gminnego w Domaradzie — przy rozważaniu najistotniejszych spraw, związanych z podniesieniem wydajności rolnictwa i zwiększaniem dochodów — postanowiono powołać do życia spółdzielnię: krawiecką, koszykarską, bednarską, koidalniczą i kowalską. Uczestnicy zebrania wypowiadali przekonanie, że wyższą formą gospodarki rolnej wymaga lepszego zapożyczenia rolnika w potrzebne mu narzędzia i towary. Dużo też uwagi poświęcono na zebraniu podniesieniu hodowli. W dyskusji przeprowadzonej z udziałem producentów rolników wskazano na konieczność szkolenia dojarów. Dojarka nie znająca zasad dojenia krów, może zapuścić nawet najczystsze mleko. Trzeba jak najszybciej propagować pomagające w tej pracy broszury, zapewnienie polki w każdej księgarni Związku Samopomocy Chłopskiej. Jest ich na naszym rynku wydawniczym już sporo. M. W.

SPROSTOWANIE

W numerze 5 tygodnika „WIEŚ” na str. 3 pod artykułem „Pisarz ludowego powstania” zniekształcono tytuł i adresy autorów. Odsyłacz ten winien brzmieć:

„Ur. 17.IX.1864 r. w Winnicy, zmarł 25.V.1913 r. Prześladowany przez polską cenzurę, przeżył się na ciele życia pod nadzorem policji. Przyjaciel krótki.”

POLSKIE RADIO I REDAKCJA TYGODNIKA „WIEŚ”

ogłaszają z dniem 1 lutego br.

KONKURS

pod hasłem

„PISZĘ O KSIĄŻCE, KTÓRA OSTATNIO DAŁA MI NAJWIĘCEJ WZRUSZEŃ I KORZYSCI”

DO UCZESTNICTWA W KONKURSIE używamy mało- i średniorolnych chłopów, kobiety i młodzież, aktywistów wiejskich oraz inteligencję pracującą na wsi.

Apelujemy do bibliotekarzy, kierowników świetlic, nauczycieli, kierowników zespołów czytelniczych, aby przyczynili się do jak najpełniejszego udziału produkujących czytelników w naszym Konkursie.

*

JAKIE KSIĄŻKI MOŻNA OMAWIAĆ? Można omawiać zarówno powieści, jak dzieła społeczno-naukowe, czy książki rolnicze.

TERMIN NADSYŁANIA WYPOWIEDZI NA KONKURS UPŁYWA Z DN. 31 MARCA BR. (decyduje data stempla pocztowego).

*

KONKURS MA CHARAKTER OTWARTY, tzn., że w miarę nadsyłania wypowiedzi, najciekawsze z nich będą odczytywane w Radio i ogłaszane we „Wsi”. Nie zwracajcie więc z pisaniem wypowiedzi tak, aby już w drugiej połowie lutego słuchacz Radia i czytelnicy „Wsi” mogli się zapoznać z pierwszymi głosami uczestników. Pragniemy, aby zachęciły one innych do opisanie swoich przeżyć nad wybraną książką, do przedstawienia, jak ją zrozumieli i jaki wywarła wpływ na ich życie osobiste i społeczne.

Sądymy, że wszyscy radiosłuchacze i czytelnicy „Wsi” odniosą korzyść z Konkursu, dowiadując się o wielu książkach, ich treści i wartości, poznając dzięki Konkursowi i głosom czytelników różne rodzaje wpływu książki i zastosowania ich w życiu.

*

SĄD KONKURSOWY ogłosi w połowie kwietnia wyniki Konkursu, przyznając autorom najlepszych i wyróżnionych wypowiedzi cenne nagrody.

W najbliższym czasie podamy do wiadomości ilość i rodzaje nagród.

*

WYPOWIEDZI NALEŻY NADSYŁAĆ NA ADRES: POLSKIE RADIO — WARSZAWA, z dopiskiem na kopercie: „Na Konkurs Czytelniczy”, albo: REDAKCJA „WIEŚ” — WARSZAWA, Pl. Starynkiewicza 7 z dopiskiem na kopercie: „Na Konkurs Czytelniczy”.

Za ogłoszone w Radiu lub opublikowane we „Wsi” wypowiedzi autorzy otrzymają honorarium.

Malowidła na szkle

Autorem ich jest Józef Hulka ze wsi Łękawice powiat Żywiec. Był on uczniem ludowej malarstwa zakopiańskiego Heleny Rej-Kozłowskiej, następnie przez 2 lata pracował w Państwowym Ognisku Plastycznym w Bielsku Podlaskim. Obecnie pracuje aktywnie w gromadzkiej świetlicy, jest przewodniczącym kół ZMP w swojej gromadzie.

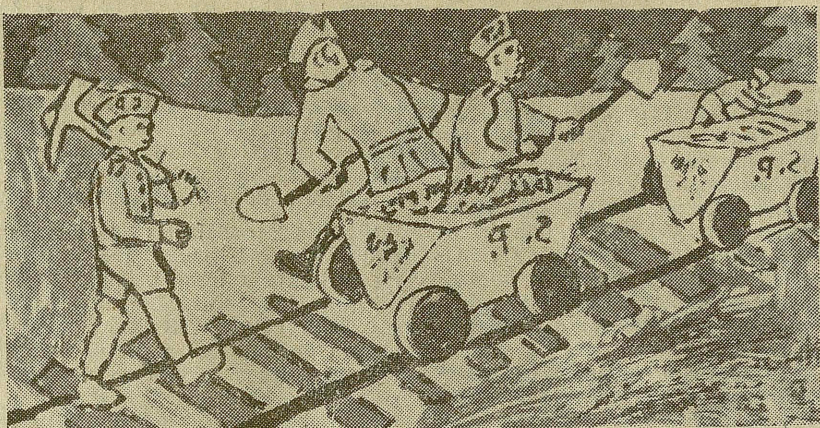
Tematy jego obrazów wiążą się ściśle z życiem jego rodzinnej wsi. Józefowi Hulce w nagrodę za jego rozwijający się talent — gmina dała specjalną pomoc, która pozwoli mu na zajęcie się nie tylko malarstwem ale i rzeźbą. A oto jego prace:



Zlewnia mleka w Żywcu



Matka czytająca książkę



Praca junaków SP na torze kolejowym



Szukanie stonki ziemniaczanej na łękawickich polach

Gazetka gminna

BRONISŁAW CHEĆIŃSKI

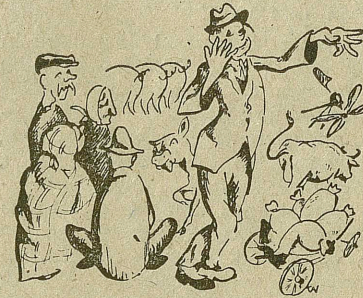
ZAMKNIĘTA WIEDZA

Wiedza, to skarb jest — mówi przysłowie, strzec skarbow trzeba — to jasne. O co mi chodzi? — Chwileczkę — powiem. Rozwinę temat ten właśnie.

Dwa lata mija, gdy do świetlicy spółdzielczej, nadszedł księgozbiór. Przewodniczący tomy przeliczył, dzielił pod krytyczny je rozbiór:

„Wzła wybitne są tu poniekąd, wielka zawarta w nich wiedza. Wiedza jest skarbem — jako się rzekło — dawno to mędrcze powiedział”.

Postanowili dobrze pilnować, by skarb w tych książkach mieli.



Bywa w terenie..

Nie można w żaden sposób zarzucić ob. Michejdzie, soltysowi z Kulek tego, że się po wsi jak fryga nie kręcił, z ludźmi nie rozmawiał lub, że nie jest chłodem życiowym.

Akurat przebiegł. Michejda bez mała w domu nie nocuje tak biega, nieco może chwile, od chałupy do chałupy. No, a gdzie się pojawi — wszystkie sprawy załatwia.

Ot dla przykładu. Prosił go ob. Kopół o ulgę w dostawach zboża. Chodziło o 4 metry, a skończyło się na tym, że Kopół zamiast 20, odstawił wszystkie 2 m. Królka prosił o kredyty, gdyż chciał sobie wiatrak wybudować, żeby mu elektrykę napędzał. I dostał 3.000 złotych. Słasiadek, z czystej dobroci serca chciał podzielić ziemię pomiędzy dwie ciotki i tyłuż dziadków. Niech mają choć na starość trochę realności. I tej prośbie Michejda nie odmówił. Kilimkowi zmniejszyć podatek. Sobiektowski cięło zostawił w oborze, a miało iść na sped, zamknął oczy na trzy dorodne świnki w chlewni Śmucha. Malinowski zwoinił od „starwachu”. Soporkowi podsyłał na nowóz złucznych, że mu chyba na 10 lat starczy. Węglikowi tak zapoinował podanie, że z miejsca dostał nową krowę zarodową, i ma raz już zszedł. Dobrze, gdyż nie znosi liczb nieparzystych.

Wyglądało z tego, że Kulki nie soltysa mają, lecz anioła. Otóż w tym sek, że nie. Michejdzie można postawić pewien zarzut. Ten mianowicie, że wszyscy jego, wyżej wymienieni podopieczni, to kulacy.

PAWEŁ MORAS

Zamknęli wiedzę w pustej świetlicy, wspólnoty ojcowie dzielni.

Raz, ktoś ze śmielszych, cichym wicezorem, do drzwi świetlicy zapukał, o, nie były to majaki chore: wśród książek puszczyk hukal.

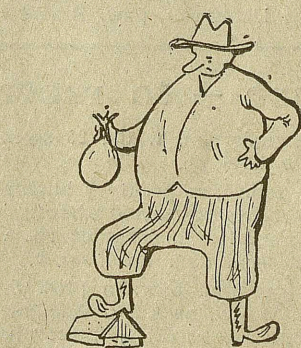
Tak pokiwał nad przezornością poważnych ojców gromady; tylko on, puszczyk, sowa mądrością odnalazł książek tych ślady.

W Rusocinach pow. Piotrków jest biblioteka w świetlicy tamt. spółdzielni produkcyjnej, z której od dawna nikt nie korzysta, książki znajdując się pod kluczem.

Pechowa gromada?

- Twardyszkil
- A świetlica wyremontowana?
- Nie!
- Droga gromadzka wyreperowana?
- Nie! — chłopów ogarnęło podniecenie.

Clucka pytał spokojnie dalej: — No, a dwie nasze wdowy zapożyczone na zimę w opa? — Nie, a to drań, czekał, czekał, nie wyjdiesz spokojnie z zebrania! — Jak myślicie, gdzie się podział pieniądze?



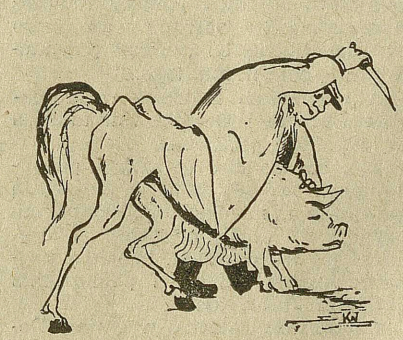
WOJCIECH BRYŁA

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 9-00-81
Telefony: Red. Nacz. 883-86, Redakcji 870-81, wewnętrzny 13, 42, 70.
Adres redakcji: Warszawa, Pl. Starynkiewicza nr 7.
Warunki prenumeraty:
mies. — 4,60 zł, kwartalnie — 13,80 zł, półrocznie — 27,60 zł, rocznie — 55,20 zł. Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.
RSW „PRASA”, Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. 5-B-10769

Koń by się uśmieł

Był tak: średniorolnemu Janowi Walosze z Mokrysz pokopały się niedawno konie. Skutek był opłakany. Słabszy „gniadosz” okulał i już w żaden sposób nie można było go użyć do pracy. Te nieprzydatności konia stwierdził urzędowo ob. Belcikowski, weterynarz powiatowy. Wziął następnie równe 100 złotych za fatygę i pojechał. Konia radził sprzedać rzeźnikowi Pałędze.

— Ano, wola boska i skrzypce, zaw sze parę setek za gniadosa będzie —



Pałęga konia zabił, wziął za tę robotę równo 100 złotych i obiecał jeszcze tego samego dnia zabrać samochodem mięso i kości. Tak się też stało. Po pieniądzu miał się zgłosić Walocha po 10 dniach.

Chłop zjawił się w miasteczku zgodnie z umową myślał po drodze co sobie za te setki kupi. Pałęga przyjął go grzecznie, oświadczył, że owszem, należność się ureguluje, ale pod warunkiem — Walocha zapłaci wpiernach za przewiezienie mięsa i kości samochodem równo — 250 złotych.

— 100 plus 100, do tego jeszcze 250, razem 400 złotych, dadzą pewno ze 700, to się jeszcze 250 zostanie — kombinował średniak i zapłacił. Pałęga pieniądze wziął i odesłał chłopu po reszcie do „rakarni”. Tam o gniadosz mowy nie było. Zagrożono natomiast Walosze karą pieniężną za zameczenie zwierzęcia.

I tu można by całą historię zakończyć, gdyby nie... „kary”. Kiedy bowiem strapiony Walocha, wracając do rodzinnej wsi, podniósł głowę, „kary” odwrócił się, pokazał białe zęby i zarżał głośno.

— Ani chybi, śmiech go bierze z tego, że się dał tak wykołować. Dam ja ci się śmiać! — rozeźlił się w końcu.

Rzeczywiście — na Kolegium Orzekającym przy GRN w Mokryszkach stało właśnie sprawa łapówek, jakie wyłudza od chłopów ob. Belcikowski i ciemnych sprawek rzeźnika Pałęgi, który zajął w międzyczasie sprzedać kielbasę z gniadosa, jako czystą wieprzowinę. Słychać ogólnie, że Walocha na sprawie nie popuścił.

JERZY SULMIERSKI

KRONIKA KULTURALNA

Nowa i ciekawa forma pracy propagandowej wśród ludności wiejskiej wprowadził aktywny świetlicowy Uniwersytetu Ludowego ZSCh w Białym Stawie leśkiej w woj. opolskiej. Organizację on dla okolicznej ludności podwieczorki artystyczne zwane są „swaczi” — „swaczi” połączone z pogadankami i dyskusjami na aktualne tematy rolnicze.

W programie imprez włączono także imprezy w postaci pogadanki na temat hodowli w r. 1954. W części artystycznej młodzież Uniwersytetu Białostockiego wystąpiła w 80-osobowym chórze, w tańcach i „berach” śląskich.

Na zakończenie spotkania produkująca gospodyni, 55-letnia Maria Nawrat z gromady Dziekwice wyraziła uczucia wszystkich obecnych z wierszu zakonczonym następującymi słowami:

„Pięknie młodzież na scenie grała, Nas, kobiety, rozveselała. Za rok znów się przyjdzie, Wszyscy będziemy teraz dużo hodowali I więcej produktów Państwu dawali”.

*

S świetlice gminne pow. łękauckiego przygotowują się do wielkiego festiwalu sztuk współczesnych w związku z 10-leciem Polski Ludowej.

Zespół teatralny przy świetlicy w Korniatowie przygotowuje sztukę współczesną pt. „Skrajny rekord” oraz „Pradziwi dziedzice”.

Członkowie zespołu biorą udział i pomagają w pracy zespołów szkolenia rolniczego. Zajął się szkoleniem rolniczym się już w świetlicach w Dębnie, w Woli Zarzyckiej, Starym Mieście, Handlowce i Korniatowie. Zajął się kolekcją połączone są z pracą zespołów Wszechnicy Radziowej.

W świetlicy w Dębnie zostanie zorganizowany kurs haftów ludowych.

Jak widać świetlica w Korniatowie wprowadzając różne formy pracy, umie je tworzyć polską sztukę współczesną, w sposób zainteresowania i wiedzę chłopów.

Ciekawe, jak pod tym względem wygląda praca innych świetlic?

*

Rzecz jasna, że w powiecie Lubartów większej ilości wsi. Są jednak i takie wsie, w których filmy oglądane są bardzo rzadko.

W roku ubiegłym w powiecie Lubartów kino objazdowe odwiedziło gromadę Czerniecki tylko raz. Zdawałoby się, że wina za to spada na Okręgowy Zarząd Kin w Lublinie, gdyż dojazd do tej gromady jest dobry i jest sala na wyświetlanie filmów. Pogadł taki jest jednak młyn. Kierownictwo szkoły, w której znajduje się sala, z obawy przed jej zanieczyszczeniem, nie pozwala na wyświetlanie filmów. ZOK w Lublinie zwracało się do Prezydium GRN, interwencja ZOK pozostała jednak bez skutku.

Okręgowy Zarząd Kin mógłby przysłać filmy bardzo często, przy takim ważnym stosunku do jego akcji jest to niemożliwe.

Podobne wypadki powtarzają się i gdzie indziej.

W kinie stałym w Białym Stawie woj. Lublin filmy zmienić się bardzo rzadko. Widzowie bezskutecznie domagają się wyświetlania „Pieśni Tajgi”, „My urwisy” i innych filmów. Centrala Wynajmu Filmów w Lublinie przysłała przysłać nowe filmy, dotychczas jednak to nie nastąpiło. Nie wyświetlane są również kroniki filmowe, o które zarząd kina prosi od dawna. Kino w Białym Stawie otrzymało także przysłać węgla dla ogrzewania sali.

Podobnie stało w gr. Słoneczna (woj. Kozłowski). Kino objazdowe nie zawiązało tam od kilku miesięcy.

*

S portowcy województwa opolskiego, realizując hasło „Nowymi osiągnięciami w sporcie witalny i Zjazd PZPiR” zdobyli ponad 18 tys. norm SPO, 600 klas sportowych. Do wyników w sporcie dochozda wyniki pracy kulturalno-oświatowej. Ostatnio w woj. opolskim powstało 15 kolekcji czytania dobrej książki, 16 kolekcji mierzwińskich, wiele zespołów artystycznych. Imprezy sportowe łączono z organizowaniem wieczornych, gawęd, odczytów i pogadek, na których nie poznawano się z wytycznymi IX Plenum.

W wieczornych sportowych w Tworkowie (pow. raciborski) wzięła udział cała wieś. Po występie Powiatowego Zespołu Pieśni i Tańca najlepszych spośród sportowców przyjęto do ZMP.

Podobne wieczorne odczyty w piśmie, Jaskółce, Kujawki, Smardach i innych gromadach.

Wielu LZS-owców i junaków SP umie połączyć pracę w kole sportowym i świetlicy z realizacją zadań produkcyjnych. Alfreda Zenon ze Skągaj pow. kłobuckiego utworzył 22-osobowy zespół dziewcząt, które uczestniczą w konkursie hodowli drobiu. Junak Jan Kłapczak ze Samborowia (pow. raciborski) wezwał kolegów do zorganizowania „gromadzie” brygady pomocy, która miała pogłębiać swe wiadomości agrotechniczne, a wiosną w wolnych chwilach pomagać będzie w pracach PGR-om i małorolnym chłopom.

*

I Instytut Uprawy, Nawożenia i Gleboznawstwa w Gorzowie Wielkopolskim dotychczas słabo był powiązany z pracami praktycznymi rolników.

Udział wzięli w nim na praktykę rolniczą mieli charakter żywiłowy.

Pracownicy nauki Instytutu postanowili organizować specjalne kursy szkoleniowe dotyczące upowszechnienia niestosowanych dotychczas na wsi zabiegów agrotechnicznych i wprowadzenia nowych; wezmą oni udział w szkoleniu kierowniczych kadr rolniczych agronomów PGR, POM-ów i lektorów UWR. Na terenie swych placówek doświadczalnych Instytutu przeprowadzą akcje tzw. „Dni Otwarte”. „Dni” te, organizowane w okresie wegetacji roślin, będą zapoznawały okolicznych rolników-praktyków z wynikami najnowszych prac naukowo-badawczych. Chodzi przede wszystkim o wskazanie możliwości zastosowania odpowiednich wyników nauki przez rolników. Obok konsultacji i szkolenia członków Instytutu będą opracowywane popularne biuletyny, ulotki i instrukcje.

*

Niedługo po podjęciu przez gromadę Oleszniczkową zobowiązania, jej mieszkańcy oglądali jednokółkową pt. „Niepotrzebni”. W tej chwili zostały liczy już 15 osób i przygotowuje wystawienie dwukółkowej pt. „Co zło to w grzyby”.

*

Dobre rozkładanie się mody wśród ma jednak trudności w kontynuacji pracy. W lokalnej świetlicy, gdzie pracują młodzi artyści-amatorzy, nie ma pieca, drzwi, okien i podłogi. Trudności te próbuje pokonać sam. Zarządowi światła elektryczne w świetlicy i wybudowali scenę. Za dochód z pierwszego przedstawienia zakupili kurtyny. Calkowicie wyremontowała świetlicy nie są jedyną w starostwie. Kierownik zespołu Stanisław Chupryk zwracał się niejednokrotnie do Prezydium GRN i ZSCh o materiały budowlane. W odpowiedzi otrzymał radę organizowania dochodowych zabaw tanecznych.

Zespół jednak chce urządzać nie tylko potańcówki. Młodzi artyści narzekają również na brak podręczników nauki piosenek. Notowanie melodii zasłyszanych w radio jest niewystarczające. Stanisław Chupryk radzi rozszerzenie dyrygentem i kapelmistrzem, chętni do stać się na kurs kierowników świetlic, co pomogłoby mu w prowadzeniu zespołów.

Inicjatywie i chęci do pracy członków zespołu nie przeszkadza w pracy GRN-zy organizacje partyjne, ZSCh.